Nr. 10. Warszawa, dnia 10 Marca (26 Lutego) 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty i prosimy o wczesne nadsyłanie jej dla uniknięcia przerwy w odbiorze pisma.

POLITYKA.

USTĄPIENIE GLADSTONA.

Nawet nie przeceniając wpływu jednostek na życie społeczeństw, przyznać trzeba, że ustąpienie Gladstone'a z widowni politycznej jest dla Anglii, a pośrednio i dla całego świata cywilizowanego wypadkiem wielkiej wagi. Bo ostatecznie od lat wielu, prawie od objęcia przewodnictwa w partyi liberalnej, był on — rzec można — jednym z vicekrólów Anglii. Kto będzie głową rządu po przyjściu do władzy jakiegoś stronnictwa w każdym innym kraju konstytucyjnym, to bywa zawsze wątpliwem; ale kto obejmie ster po zwycięztwie whigów, nikt w ostatnich latach nie wątpił. Ponieważ zaś dwie główne partye angielskie ciągle się mieniają w kierowaniu państwem, którego królowa „panuje, ale nie rządzi,“ więc Gladstone, nawet pozbawiony władzy, nie był właściwie człowiekiem prywatnym, lecz „premierem“ odpoczywającym. To też i w porze dymisyi czasowej nie przestawał on oddziaływać na bieg spraw wewnętrznych i zewnętrznych, posiadał swój sztab, utrzymywał swoich agentów i był czynnym, jak gdyby jutro miał znowu objąć kanclerstwo „wielkiej pieczęci.“ Rozumie się, musiał on w sobie i w swojem otoczeniu czerpać pewność, że skoro tylko jego partya otrzyma większość w Izbie gmin, jemu, a nie komu innemu powierzone będzie uczestnictwo w nowym gabinecie. Historya zna jeszcze bardziej zadziwiające przykłady zrostu władzy z genialnemi jednostkami. Wszak Perykles władał Atenami, nie piastując żadnego urzędu. Mimo to fakt stałej wiary narodu w rozum polityczny jakiegoś człowieka jest zjawiskiem niezwykłem i pięknem. Zadziwia on nas jeszcze bardziej w Anglii, w kraju, czującym niechęć do wszelkiej dyktatury i otwierającym zupełnie swobodne pole współzawodnictwu ambicyj, których nigdy nie brak i które nigdy nie są skłonne do uznania cudzej wyższości. Jeżeli tedy Gladstone w ostatnim okresie dzierżył stale buławę hetmana liberałów i tekę pierwszego ich ministra, świadczy to o wielkiej jego powadze moralnej i talencie politycznym, a z drugiej strony o rzadkiej dojrzałości umysłowej tego stronnictwa i całego narodu. I oto ten osiwiały w boju, okryty wawrzynami wódz ustępuje dobrowolnie i składa swą buławę. Nie czyni tego pod żadnym naciskiem zewnętrznym, lecz poprostu uznał, że mu do dalszej pracy i walki sił braknie. Gazety donoszą, że oślepł skutkiem utworzenia się na oczach katarakty. Jako ostateczna przyczyna ustąpienia, wydaje nam się to najzupełniej prawdopodobnem i zrozumiałem. Gladstone nie należał nigdy do ludzi, którychby zniechęcała jakakolwiek porażka parlamentarna. Chociaż więc nie zdołał przeprowadzić przez Izbę wyższą billu o samorządzie Irlandyi, nie byłby zszedł ze stanowiska, gdyby nie spostrzegł, że grób przysuwa się ku niemu coraz bliżej, a on go już przeskoczyć nie może. Ślepy, głuchy, zgrzybiały bojownik — to tylko uciecha i korzyść dla przeciwników. Trzeba powierzyć szeregi i chorągiew innemu.

Komu? Koło Gladstone'a wykształciło się kilka zdolności niepospolitych, ale żadna nie dorównała jego geniuszowi. Musi on więc zejść z widowni i ze świata bez godnego następstwa. Za spadkobiercę swych przywilejów wybrał on dotychczasowego ministra spraw zewnętrznych, lorda Roseberrego. Człowiek ten dowiódł już wysokiej zręczności dyplomatycznej i ma jeszcze dużo czasu do ujawnienia talentu politycznego — liczy bowiem dopiero 47 lat — nie wydaje się jednak olbrzymem. Toż samo powiedzieć należy o jego następcy w ministeryum spraw zagranicznych, lordzie Kimberley. Zarówno ci dwaj, jak i ich towarzysze w gabinecie, są to ludzie mniej lub więcej wytrawni, doświadczeni, zdolni, ale mniejszego kalibru.

Jaką zmianę sprowadzi rezygnacya Gladstone'a? Przedewszystkiem dyplomacyi angielskiej i europejskiej ubędzie pierwszorzędna siła, która w polityce objawiała potężny swój udział. Dalej idea usamowolnienia Irlandyi postrada najdzielniejszego szermierza. Wprawdzie sekretarzem do spraw tej wyspy mianowany został jego syn Herbert, który niejako będzie piastunem i obrońcą myśli ojca, ale wiadomo, jak skromne skutki rodzą się z dobrych chęci, niepopartych należytą energią i rozumem. Może najdotkliwszą wszakże stratą ogólniejszej natury, wypływającą z ustąpienia Gladstone'a, będzie zniknięcie tego pierwiastku idealistycznego, który jak nić złota przewijał się często przez pasmo jego działań dyplomatycznych. Ten czciciel Biblii i Homera zachował w swej naturze do końca jakieś ideały niezależne od korzyści praktycznej, jakieś marzycielstwo i szlachetne porywy, które go czyniły biegunowem przeciwieństwem Bismarka. Jako wielkorządca potężnego i zdobywczego państwa musiał on naturalnie mieć wzrok ciągle utkwiony w cele praktyczne i strzedz się utopii, od czasu do czasu jednak nie mógł pohamować w swej naturze popędów najczystszego uczucia. Polityka angielska ma bardzo dawne i pilnie strzeżone tradycye egoizmu, ale nie ma tradycyi bezinteresowności. W tej atmosferze chłodnego wyrachowania i czci dla „businesu“ zdradzający się niejednokrotnie sentymentalizm Gladstone'a był objawem dziwnym, ale sympatycznym. O ile znamy dzisiejszych kierowników Anglii, ta słabość polityczna jest im zupełnie obca. Można

przeto spodziewać się, że ich ręce nie wysnują owej „złotej nici," którą widzieliśmy w jego palcach. Ten krok byłby zawsze pożałowania godnym, tem bardziej zaś w epoce, w której interes pożera wszystkie inne pobudki i cele.

Publiczne życie Gladstone'a jest już tym ostatnim aktem zamknięte i dlatego prasa zabrała się do obliczenia jego cyfr dodatnich i ujemnych. On może przez resztę dni swoich tylko słuchać tego rachunku.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Kiedy projekt traktatu handlowego z Rosyą szedł do komisyi sejmowej, która go miała zbadać i wyrazić swe zdanie przed pełną Izbą, każdy czuł, że jest to komedya. Owe bowiem obrady komisyjne są najczęściej utkane z pozorów, tym razem jednak są one wprost zabawne. Jeżeli z wnioskiem wystąpi rząd lub jakaś partya, to szczegółowy rozbiór żądań w szczuplejszem kole specyalistów ma sens, gdyż po ocenieniu ich jedne mogą być przyjęte, a drugie odrzucone. Tymczasem traktat z Rosyą tak krajać i okłamywać się nie da; musi on być przed 20 marca albo przyjęty bez zmiany, albo odrzucony zupełnie, gdyż delegatów ruskich nie ma w komisyi parlamentarnej i oni nie oświadczą, czy ich rząd zgodzi się na ustępstwo w tym lub owym punkcie. Że zaś układ przejdzie, więcej powiemy — przejść musi, o tem chyba nawet jego przeciwnicy nie wątpili. Wznawiać wojnę celną, która jednocześnie targa stosunki polityczne, zamknąć największy rynek europejski przemysłowi, który dusi się własnym nadmiarem, okazać przed światem zatarg między rządem a narodem — na wszystko to sejm niemiecki się nie odważy. Dlatego obrady komisyi nad traktatem nazwaliśmy komedyą, która ukończy się przed 20 marca zupełnem zwycięztwem rządu.

Obrona umowy rusko-niemieckiej Miquela, zimna i widocznie nieszczera, wywołała znowu w prasie pogłoski o niezgodzie między kanclerzem a pruskim ministrem skarbu i o blizkiej dymisyi ostatniego. O ile przeniknąć można wzrokiem gęste zasłony pozorów, zdaje się, iż między Caprivim a Miquelem istnieje rzeczywiście stłumiona waśń, która poprostu ma swe źródło w wielkich a wzajem drażniących się ambicyach. Zwłaszcza były nadburmistrz Frankfurtu jest człowiekiem chorującym na geniusz i nietylko ma pretensyę do „uzdrowienia" finansów pruskich i ogólno-niemieckich, ale także do zajęcia stanowiska pierwszego doradcy korony. W państwie bismarkizmu każda większa zdolność dostrzega w sobie siły Bismarka.

Układ celny Rosyi z Austryą wejdzie na inną drogę. Ponieważ on nie może być opracowany w szczegółach do 20 marca, więc rządy austryacki i węgierski chcą przyznać Rosyi prawa państwa najbardziej uprzywilejowanego na rok, a w ciągu tego czasu delegaci obu stron przygotują umowę, która będzie obowiązywała nadal.

Cesarz austryacki bawi z żoną w Mentonie *incognito*, tj. wszyscy wiedzą o jego pobycie i dokuczają mu natrętną ciekawością, tylko władze szanują maskę, starając się jednocześnie, ażeby dostojny gość jak najbardziej korzystał z ich troskliwej opieki.

Reforma wyborcza, która powaliła hr. Taaffego, ma być znowu wskrzeszona w zmienionej nieco postaci. Według pogłoski, utworzona będzie nowa kurya dla wydziedziczonych z prawa obywatelskiego.

Pomimo że niższy i wyższy kler węgierski coraz mocniej atakuje projekt obowiązkowych ślubów cywilnych, zdaje się, że grunt dla nich w narodzie i sejmie coraz bardziej się rozszerza. Naturalnie ich obrońcy pracują nad tem z wielką energią.

Z Francyi nadchodzą wiadomości tylko dwojakiego rodzaju: albo podłożono nową bombę i złapano nowego anarchistę, albo w Izbie ktoś oskarżył jednego z dostojników państwowych o nieczyste sprawki. Oba te źródła trysnęły w ubiegłym tygodniu, a przedmiotem oskarżenia o zapłacenie redaktorowi *Cocarde*, skazanemu przez sąd fałszerzowi dokumentów, 80,000 fr., stał się prezes Izby, Dupuy. Ile w tym zarzucie jest prawdy — nie wiadomo, bo oskarżony milczy, według jednych z pogardy, według innych — ze wstydu.

W Sycylii miał się znowu objawić ruch rozbójniczy. Włochy poszczycić się mogą tą smutną sławą, że ze wszystkich państw ucywilizowanych one jedne dochowały ten zabytek średniowieczny.

BADANIA NAUKOWE.

KILKA UWAG O POPULARYZOWANIU WIEDZY.

(Dokończenie).

Od popularyzatora wymagamy tedy, aby sam był badaczem, aby własnem doświadczeniem umiał oceniać fakty w danej dziedzinie wiedzy i takimi też są rzeczywiście wszyscy prawie znakomici popularyzatorowie zagraniczni. Nie wynika stąd, aby popularyzator musiał być *koniecznie* badaczem; znamy przecież wielu dzielnych i wytrawnych pisarzów, uprzystępniających wyniki wiedzy, a jednak niezajmujących się samodzielnemi poszukiwaniami naukowemi, ale to pewna, że bardzo często autorowie, którzy naukowo nie pracują, nie mają żadnego zmysłu krytycznego i są lichymi popularyzatorami, gdy tymczasem żaden uczony nie będzie bez wyboru i bez krytycyzmu podawał wiadomości szerszemu ogółowi.

Dlaczego jednak na taką masę ludzi nauki tak mało stosunkowo wyrabia się dzielnych popularyzatorów? Po pierwsze przyczyna tkwi w tem, że uprzystępniać wyniki nauki może tylko ten, kto umie wznieść się po nad drobiazgi faktyczne i ogarniać wiedzę z pewnej wysokości. Dziś jednak, przy nadzwyczajnym rozwoju techniki badawczej, istnieje pomiędzy uczonymi ogromna ilość „specyalistów," których możnaby nazwać rzemieślnikami naukowymi, ludzi, którzy w gromadzeniu szczegółów i szczególików widzą cel badania umiejętnego. Są oni nietylko niedołężnymi uczonymi — bo w przyrodoznawstwie niezbędną jest nietylko analiza, ale i synteza, nietylko sztuka zdobywania faktów, ale i zdolność porównywania ich z sobą, wiązania i uogólniania, lecz w równym stopniu są też niedołężnymi popularyzatorami, gdyż nie mają zmysłu do wyróżniania stopnia ważności danych faktycznych i tem samem krytycznej ich oceny. Gdy ludzie tacy biorą się do pióra, aby przemawiać do szerszego ogółu, czynią grzech wielki, gdyż z pewnością produk-

---

4)

Gerhart Hauptmann.

Dróżnik Thiel.

Pociąg ożywił się. Maszyniści i konduktorzy biegli przez żwir ku końcowi pociągu. Z każdego okna wyzierały ciekawe spojrzenia— tłum zbija się, posuwa się ku przodowi.

Thiel ciężko dyszy, podpiera się, aby nie upaść. Doprawdy, wołają go, znakami mówią — nie!

Krzyk, idący z miejsca nieszczęścia, rozdziera powietrze, po nim rozlega się ryk, rzekłbyś ryk zwierzęcia. Kto to?! Lena?! To nie jej głos, a jednak...

Zbliża się ku niemu śpiesznie jakiś człowiek.

— Panie dróżniku!

— Cóż takiego?

— Nieszczęście!..

I cofa się, bo w oczach dróżnika odbywa się coś dziwnego. Czapka zsunęła się, czerwone włosy zdają się stawać na głowie.

— Jeszcze żyje, może jest jeszcze ratunek.

Rzężenie jedyną było na to odpowiedzią.

— Chodź pan prędko, prędko!

Thiel zrywa się gwałtownym wysiłkiem, wypręża zmęczone mięśnie, prostuje się, twarz ma bezmyślną, martwą.

Biegnie, nie widząc śmiertelnie bladych, wystraszonych twarzy w oknach wagonów. Cóż go obchodzą? Nie dbał nigdy o zawartość tych wrzaskliwych skrzyń; słyszy tylko ryk Leny. Miga mu przed oczami, widzi żółte kropki — niby robaczki świętojańskie — a jest ich moc. Przerażony cofa się — staje. Z tańca owych robaczków występuje coś bladego, wiotkiego, krwawego. Czoło sińcami pokryte, sine wargi, po których czarna ścieka krew. Więc — on.

Thiel nie mówi, twarz jego pokrywa się brudną bladością, uśmiecha się, jakby nieprzytomnie, wreszcie pochyla się, wiotkie, martwe członki trzyma w objęciach; owija je czerwona chorągiewka.

Idzie.

Dokąd?

— Po lekarza, po lekarza! — rozlega się wokoło.

— Weźmiemy go zaraz z sobą — woła pakmistrz, zestawiając w przedziale swoim łoże z mundurów służbowych i książek. — A więc?

Thiel nie wypuszcza dziecka z objęć. Nalegają na niego — napróżno. Pakmistrz każe podać nosze i wyznacza dla Thiela pomocnika.

Czas jest drogi. Maszynista świszcze. Z okien wagonów padają pieniądze.

Lena rzuca się jak szalona.

— Biedna, biedna kobieta — mówią podróżni — biedna, biedna matka!

Maszynista daje sygnał powtórny — świst — olbrzym wyrzuca białą, syczącą parę i wypręża żelazne swoje żyły— kilka sekund jeszcze — i kuryer ze zdwojoną szybkością pędzi przez gęstwinę.

Dróżnik widać, namyśliwszy się, składa martwe prawie ciało na noszach. Od czasu do czasu koścista pierś podnosi się długiem, rzężącem tchnieniem. Połamane rączki i nóżki przyjmują najdziwaczniejsze pozycye. Pięta wykrzywiła się ku przodowi, ramiona zwieszają się z brzegów noszy.

Lena szlocha bezprzestannie, niema w niej ani śladu dawnej zuchwałości. Wciąż powtarza historyę, którą usiłuje dowieść swojej niewinności w nieszczęściu.

Thiel zdaje się jej nie widzieć, z rozpaczliwym smutkiem spogląda nieruchomie na dziecko.

Wokoło zalega cisza, śmiertelna cisza. Mężczyźni naradzają się szeptem. Aby jaknajprędzej dostać się do Friedrichsagen, trzeba wrócić na stacyę drogi wrocławskiej, ponieważ najbliższy kuryer tam tylko się zatrzyma.

Thiel zdaje się rozważać, czy pójść z nimi. Niema nikogo, ktoby się znał na służbie. Niemym ruchem ręki rozkazuje żonie,

cye ich, jako pozbawione myśli ogólniejszych, dyskredytują tylko nauki przyrodnicze w oczach czytelników.

Uprzystępnianie wiedzy odbywa się w rozmaity sposób. Niektórzy pisarze, zwłaszcza francuscy, dbają o to, aby ona podawana była czytelnikom w postaci nadzwyczaj lekkiej. Niekiedy wybierają do tego celu formę powieściową lub podróż fantastyczną, wplatając pod różnemi postaciami fakty lub poglądy naukowe. Metoda ta jest, zdaniem naszem, jaknajgorsza. Przedewszystkiem ten, co interesuje się w powieści intrygą, osnową, nie ma chęci, ani czasu do zastanawiania się nad naukowymi wywodami autora, pomija je zupełnie lub tylko ślizga się po nich. W fantastycznych powieściach w rodzaju dzieł Juliusza Verne itp. czytelnik nie może często odróżnić bajek od ścisłych faktów naukowych, a w każdym razie te ostatnie w sąsiedztwie fantastycznych opisów, przesadnych opowiadań, nieprawdopodobnych przypuszczeń, nie budzą wielkiego zaufania i nie sprawiają odpowiedniego wrażenia. Dla mnie, a sądzę i dla każdego, kto poważnie na naukę się zapatruje, taki sposób popularyzowania jej jest nad wszelki wyraz niesympatyczny, gdyż karmienie kogoś samemi słodyczami, posypywanie drogi miękim puchem nie może być dobrem. Kto tylko w takiej arcy-lekkiej formie pobierać pragnie wiedzę, temu w ogólności niewiele się przyda czytanie prac naukowych. Rozumiem lekkość w tańcu, ale żeby ona miała być zaletą książki lub rozprawki naukowej, te jest dla mnie niepojęte. Czem bowiem osiągamy wielką lekkość pracy przystępnej? Dwiema drogami: albo przez nadzwyczajnie pobieżne przedstawianie faktów lub poglądów, albo też przez wybieranie tych tylko, które nie są w rzeczywistości najważniejsze, lecz „najlżejsze,“ najłatwiejsze do zrozumienia i najbardziej efektowne. Łatwo pojąć, że jedna i druga droga jest wielce szkodliwa i że korzyść osiągana w tych razach przez czytelnika bywa bardzo mała.

Rzecz popularna powinna być nie lekką, lecz przystępną, to znaczy podana w takiej formie, aby czytelnik rozważny wszystko rozumiał. Popularyzator powinien dbać o to, aby ani jedno pojęcie naukowe, o ile nie jest bardzo elementarne, nie pozostało bez wyjaśnienia, aby dowodzenia następowały po sobie logicznie, aby wnioski wyprowadzane były ostrożnie i *aby samemu czytelnikowi się nasuwały.*

Słyszymy nieraz utyskiwania wydawców, redaktorów lub czytelników, że rzeczy przyrodnicze są „suche.“ O ile przez „suchość“ rozumie się brak jaskrawych kwiatków stylowych, anegdotek, konceptów itp. lekkich ozdób, zmniejszających ciężar gatunkowy utworu popularno-naukowego, o tyle skargi te są bezzasadne. O ile jednak dotyczą one tego, iż w pracach popularno-przyrodniczych brak często pierwiastku ogólniejszego, filozoficznego, iż są one tylko suchymi opisami pewnych faktów lub zjawisk i nie dają prawdziwego pokarmu dla ducha, o tyle zarzut „suchości“ najzupełniej jest uzasadniony. Z tego, co powiedziałem, nie należy wnosić, iż żądam od popularyzatorów, aby przedstawiali czytelnikom same tylko teorye przyrodniczo-filozoficzne i same uogólnienia, a pomijali wiedzę faktyczną. Przeciwnie, sądzę, że o wszystkiem można i należy pisać, bo nic ma w przyrodzie żadnego szeregu zjawisk, które nie byłyby warte poznania, ale chodzi tylko o to, aby wszystko przedstawiać w odpowiedniem oświetleniu i z pewnego stanowiska ogólnego. Piszący powinien pamiętać o tem, że nie tyle chodzi o same fakty, ile o to, aby czytelnik wysnuł z nich jakiś wniosek i wyrobił sobie właściwy pogląd na otaczające go zjawiska. Naturalnie, że uwagi tu wypowiedziane mają znaczenie bardzo ogólne, bo przecież sposób popularności i metoda przedstawiania zdobyczy wiedzy muszą być bardzo różne zależnie od tego, do kogo się przemawia, czy do młodzieży, czy do ludzi dojrzałych, czy do ludu, czy do oświeconego ogółu.

Zawsze jednak i wszędzie wielka przystępność, prosta forma i dążenie do rozbudzania myśli za pośrednictwem przytoczonych faktów niezbędne są w każdej popularno-naukowej pracy, która ma przynieść zdrowe owoce.

Dr. H. T. Rozicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Czynniki etniczne w sztuce i poezyi z drugiej połowy naszego stulecia.

Przytoczyliśmy niedawno na tem miejscu zarzut Harrisona, iż nasza epoka nie była w stanie, przynajmniej w Anglii, wydać nic istotnie wielkiego w sztuce. Naprożno oglądamy się za czemś, coby przypominało swą jednolitością: grecką rzeźbę, lub włoskie malarstwo z czasów Odrodzenia, lub nowożytną muzykę niemiecką. Naprożno byśmy szukali we współczesnej poezyi angielskiej czegoś pokrewnego dramatowi z czasów Elżbiety. A jednak poczucie piękna nigdy nie było prawdopodobnie tak rozwinięte, jak w chwili obecnej. Przyczyny upadku sztuki szukać trzeba, zdaniem Harrisona, w braku powszechnie przyjętych i uznanych ideałów narodowych, społecznych lub religijnych. Stare formy myśli i urządzeń są łamane bez ustanku, a na ich miejsce występuje tylko osobistość peety. Początek, a zarazem najwyższy rozwój tego kierunku ikonoklastów znajdujemy w dziełach Byrona i Shelleya — wszyscy następni poeci szli tym samym szlakiem. Oni tylko wyprowadzili poezyę z przestworów rozżarzonej i nienaturalnej atmosfery romantyzmu, w której tamci ją utrzymywali — zresztą pozostali wszyscy indywidualistami. A ponieważ żaden nie przedstawia tak potężnej osobistości, jak tamci dwaj olbrzymy, więc nic dziwnego, iż poezya na tym subjektywizmie cierpi.

Pomimo to epoka, nad którą się zastanawiamy, jest nie do pogardzenia pod względem poezyi; może się ona poszczycić nie tylko masą szlachetnych i oryginalnych dzieł, dokonanych przez talenty drugorzędne, ale także wskazać kilku mężow, którzy rzucili myśli wytyczne: byliby zaszczytem każdego okresu historyi, jak Rossetti, Morris, Swineborne, Browning.

Wogóle krytyka angielska rozróżnia następujące szkoły w poezyi z drugiej poło-

---

aby wzięła nosze; Lena nie śmie oponować, mimo to że powstrzymuje ją troska o własne dziecko. Niesie je tedy razem z przydanym Thielowi pomocnikiem. Thiel odprowadza ich aż do granicy swego rewiru, potem staje i długo za nimi spogląda. Nagle dłonią uderza się w czoło tak silnie, że uderzenie odbija się dalekiem echem.

Myśli, że się zbudził, to pewnie sen, tak jak wczoraj — powiada sobie. Naprożno. Nie biegnie, zatacza się raczej do budki swojej i twarzą pada na ziemię. Czapka spada w jakiś kąt, starannie doglądany zegarek wysuwa się z kieszeni, koperta odskakuje, szkło pęka. Rzekłbyś, że pięść żelazna kark mu przytłacza tak silnie, że ruszyć się nie może, mimo wszelkiego wysiłku. Czoło miał zimne, oczy suche, w gardle — ogień.

Dzwonek sygnałowy zbudził go. Pod wpływem owych trzech powtarzających się uderzeń dzwonu atak mijał. Thiel zdołał się podnieść i służbę swoją pełnić. W prawdzie nogi ciężyły mu ołowiem, wprawdzie tor krążył wokoło niego, jakby obwód olbrzymiego koła, którego osią była jego głowa; ale tyle przynajmniej sił odzyskał, że przez jakiś czas mógł się na nogach utrzymać.

Nadchodził pociąg osobowy — z Tobiaszkiem zapewne... Im więcej się zbliżał, tem mętniej widział rzeczy dróżnik. W końcu miał przed sobą tylko obraz potłuczonego chłopca o krwawiących się ustach, a potem zrobiła się noc.

Po niejakimś czasie ocknął się z omdlenia. Leżał w gorącym piasku tuż koło baryery. Wstał, strzepnął piasek z ubrania i wypluł go z ust. Głowa mniej mu ciążyła, spokojniej mógł już myśleć.

Wszedłszy do budy, podniósł przedewszystkiem zegarek i złożył go na stole. Mimo upadku — nie stanął. Przez dwie godziny Thiel rachował minuty i sekundy, usiłując przedstawić sobie, co się w tym czasie dzieje z Tobiaszkiem. Teraz Lena przybyła z nim na miejsce... a teraz jest u doktora. Ten ogląda, bada chłopca i głową kiwa:

— Źle, bardzo źle — ale może... Kto wie? Bada dokładniej. Nie — mówi — nie, przepadło.

— Przepadło, przepadło! — jęknął dróżnik. Nagle wyprężył się, oczy utkwił w suficie, ręce bezwiednie w pięść zwinął i głosem, który zdawał się rozsadzać wązką tę przestrzeń, krzyknął: „musi, musi żyć, powiadam ci, że żyć musi“ — i tej samej chwili pchnięciem ręki znowu drzwi budki otworzył i biegnąc raczej, nie idąc, pośpieszył ku baryerze. Tutaj zatrzymał się jakby zdziwiony, poczem nagle, ramiona wyciągnąwszy, zaszedł aż na środek toru, jak gdyby powstrzymać pragnął coś, co zbliżało się drogą pociągu osobowego. Szeroko otworzone źrenice wyglądały jak ślepe.

I znowu, jakby ustępując przed czemś, zaczął się cofać. Niezrozumiały prawie szept wydobywał się z zaciśniętych jego zębów: „Ty — słyszysz — zostań — słuchaj — zostań — oddaj go — cały jest potłuczony — tak, tak — dobrze — i ją potłukę — słyszysz? — zostań — oddaj mi go.

Rzekłbyś, że ktoś go mija, bo odwrócił się i poruszał tak, jak gdyby ścigać chciał kogoś w przeciwnym kierunku.

— Mino! — głos jego stał się płaczliwym, jakby u dziecka. Mino, słyszysz? — oddaj go — będę... Macał rękami w powietrzu, jak gdyby chciał kogoś zatrzymać. — Żonko — tak, będę... będę ją bił — aż do sińców — będę — i toporem — widzisz — tasakiem — zabiję, aż zdechnie... A po... tak, toporem — tasakiem tak — czarna krew!

Pieniły mu się usta, szklane źrenice poruszały się bezprzestannie.

Łagodny podmuch wieczorny wionął po gęstwinie, w różowo-płomiennych puklach zwieszały się obłoki z zachodu.

Na sto kroków może ścigał tak ową niewidzialną postać, aż wreszcie, jak gdyby beznadziejnością zdjęty, stanął, wyciągnął ręce, prosząc, zaklinając. Natężał wzrok, przysłonił oczy dłonią, chcąc jakoby dojrzeć jeszcze w oddali wizyę. W końcu ręka opadła, twarz stała się bezmyślną, od-

wy naszego stulecia: idyliczną, psychologiczną, prerafaeliczną i szkołę Odrodzenia. Idyliczna daje nam wyborne obrazki z życia średniej klasy i to głównie w jego objawach zewnętrznych. Na czele jej znajduje się Alfred Tennyson. Do najwybitniejszych jego uczniów należą Jean Ingelow i miss Menella Bute Smedley. Szkoła psychologiczna natomiast zostawia zupełnie odłogiem życie czynne, zewnętrzne, zajęta jest natomiast emocyonalnymi i umysłowymi objawami bytu. Forma przeważnie przez nią używana jest dramatyczna, gdy pierwsza rzadko tylko nią się posługuje. Twórcą dramatu psychologicznego jest Robert Browning a bardziej znanymi jego naśladowcami są William Story i miss Augusta Webster Prerafaeliści zajęci są przyodzianiem tematów współczesnych w średniowieczne odcienie myśli i piękna i odtworzeniem średniowiecznych form sztuki. Powszechnie uznanym mistrzem jest tu Dante Gabriel Rossetti, a grupa, którą utworzył w poezyi, zawiera osoby następujące: Christina G. Rossetti, Coventry Patmore, Thomas Woolner i William Bell Scott.

Nareszcie grupa Odrodzenia obejmuje kilka odrębnych kierunków: tu walczą i wskrzesiciele tragedyi greckiej, jak Mattew Arnold i Swineburne — dramaty z czasów Elżbiety, jak Henry Richard Horne Henry Taylor i nareszcie wskrzesiciel pieśni średniowiecznej, uczeń Chaucera, William Morris. Tu klasyfikacya nie powinna zakrywać przed nami faktu, iż pomiędzy różnemi szkołami, któreśmy wyliczyli istnieje głębokie pokrewieństwo. Znany jest wpływ wywarty przez Rossettiego na Morrissa i Swineburne'a, Browning pozostawił ślad głęboki na całej literaturze i wszystkich jej kierunkach itd.

Grant Allen *) buduje nawet teoryę, objaśniającą to pokrewieństwo wszystkich szkół poezyi i sztuki w drugiej połowie naszego stulecia. To powrotna fala wpływu celtyckiego nad steutonizowaną Anglią ma się wyrażać w ten sposób. Celt, jak zaczarowana księżniczka w obrazie Burne-Jonesa, leżał przez długie stulecia w milczeniu snu; lecz duch naszego wieku, niszcząc wszelkie więzy kastowe i przywileje nacyonalne, przebudził śpiącego do nowego życia. W ten sposób przenikły do literatury angielskiej celtyckie ideały i rysy duchowe: wszystko, co w niej jest melancholiczne, patetyczne, tajemnicze, niejasne, dziwaczne, ciemne — wszystko to pochodzi od starszej i mniej szczęśliwej rasy wysp. W złożoną narodowość angielską teuton wniósł muskuły, inteligencyę, urządzenia społeczne, prawo, rękę żelazną, celt — jasność, powietrzność, imaginacyę, poczucie piękna, dziwy, smutki i wdzięk. Celtyckiego pochodzenia są wszystkie ballady angielskie, legendy o Arthurze, Loncelocie, Galahadzie, Guinever'ze, cykl Okrągłego Stołu — takiegoż pochodzenia jest wszystko fantastyczne, lekkkie, wdzięczne lub tajemnicze w dawniejszej literaturze — Tytania, Mab, Oberon. Głównie jednak wszystkie te cechy wystąpiły na jaw w drugiej połowie naszego stulecia, gdy duch celtycki wyzwolony został. Grant Allen odnajduje jego cechy charakterystyczne w „Idyls of the King“ Tennysona, w „Earthly Paradise“ Morrisa, w „Songs before Sunrise“ Swineburne'a, w dziełach Browninga i Rossettiego. Co więcej, odnajduje go w malarstwie. Można zauważyć, nawet pośród ras niekulturalnych, dwa odmienne typy sztuki: naśladowczy (imitative) i upiększający (decorative). Pierwszy ma zwykle na celu opowiedzenie faktu, drugi — stworzenie rzeczy pięknej. Buszmen i eskim mają tylko piarwszego rodzaju sztukę — ich ozdoby są zwykle odbiciem rzeczy faktycznie istniejących, noży lub zwierząt. Natomiast większość ras Afryki środkowej tworzy rysunki czysto fantastyczne. Każda rasa zosobna ma zwykle smak rozwinięty w jednym lub drugim kierunku, nigdy zaś w obu jednakowo. W czasach nowszych można, zdaniem autora, zauważyć tę różnicę estetycznych skłonności na dwu etnicznych pierwiastkach, teutońskim i celtyckim. Pierwszy dąży zwykle do przedstawienia faktu, sceny, momentu. Techniczne mistrzowstwo rysunku, anatomii, światłocienia, perspektywy są tu doprowadzone do szczytu, zato czysta poezya, wdzięk, marzenie nie grają wielkiej roli. Rubens jest przedstawicielem ducha teutońskiego w najwyższym jego rozwoju: bogaty, wspaniały, arystokratyczny, pełen życia i akcyi, śmiały, wymowny, histryoniczny; tworzący swe malowidła z szlachetnością i rozrzutnością wielkiego pana — ale nigdy poetyczny. On maluje jak człowiek życia i czynu, zachwycający oko, ale nigdy jak człowiek marzenia i smutków, które przenikają do głębi serca ludzkiego. Malarstwo holenderskie jest właśnie najlepszym wyrazem typu teutońskiego w sztuce. Pierwiastek celtycki ma charakter wprost odwrotny. Najlepszem jego wcieleniem są mistyczne idylle Burne Jonesa. Tu epizody i wypadki nie grają żadnej roli. Wszystko tu jest głębokie, poetyczne, tajemnicze, niejasne, mgliste; anatomia nie gra tu żadnej roli, a światło jest zupełnie nienaturalne. Burne Jones marzy o światłach „których nigdy nie było na ziemi, ani na morzu.“ Ornamentyka sama przez się nie ma tu żadnego znaczenia, dąży ona tylko do wzmocnienia idei głównej: wzbudzenia wrażeń świata pozazmysłowego. Jednem słowem, w sztuce celtyckiej celem przewodnim jest nie przedstawienie osoby lub wypadku, lecz piękno i poezya same przez się.

Malarstwo angielskie w pierwszej połowie naszego stulecia należało całkowicie do typu teutońskiego, treść obrazów była wszystkiem, koloryt grał rolę drugorzędną. To stosuje się do Lawrence'a i Gainsborough'a, do Romney'a i Reynoldsa. Szczególnie zaś do Wilkie'go i Hogartha, z dawniejszych. To wszystko byli anglicy czystej krwi. Wraz z prerafaelizmem pierwsze miejsce w sztuce angielskiej zajęli irlandczycy, gallowie, szkoci lub zanglizowani celtowie. Charakter tego ruchu określa się głównym jego celem, który polega na wskrzeszeniu sztuki *dekoratywnej* i wprowadzeniu jej w życie narodowe. Mówiliśmy niedawno o założonem „Arts and Crafts Society.“ William Morris jest gallem (welshman), samo nazwisko Burne-Jonesa wskazuje jego celtyckie pochodzenie. Oskar Wilde „którego tylko głupcy uważają za szarlatana“ — ten przywódca angielskiej dekadencyi — jest irlandczykiem. Rossetti, który wywarł wpływ najtrwalszy i najgłębszy na cały ruch estetyczny ostatniego pięćdziesięciolecia w Anglii, jest przesiąknięty poezyą, patetyzmem, melancholią, tajemniczością i subtelnością natury celtyckiej. Jego obrazy pod względem techniki lub anatomii są często wadliwe, ale za to z nich wieje łaknienie światów nieznanych. Jego kobiety czy się nazywają Pia o martwej bladości, czy „Astarte Asiatica“ o wielkich czarnych nieruchomych oczach, czy ekstatyczna „Beata Beatrix“ — wzbudzają nie tylko zachwyt, ale miłość prawdziwą. Strzały jego „Venus Verticardia,“ maczane w zaczaro-

*) *The Celt in Englishart.*

---

wrócił się i oddalił drogą, którą przyszedł. Słońce rzuciło ostatnie swoje promienie na gęstwinę i zgasło. Pnie sosen wplatały się niby blade, zbutwiałe szkielety w korony, które spoczywały na nich, jakby szarawo-czarne warstwy przegniłej pleśni. Wśród ciszy słychać było stukanie dzięcioła. Po zimnej, ciemno-stalowej przestrzeni nieba płynęła już tylko spóźniona gromadka różowych obłoczków. Wiatr dął chłodem, dróżnik uczuwał dreszcze. Wszystko wydawało mu się tu nowem, nieznanem. Nie wiedział, czem jest to, po czem chodzi, ani czem to, co go otacza.

Z pobliskiego lasku brzozowego doszedł go krzyk dziecka. Był to dla niego znak do szału. Mimowoli prawie pobiegł w kierunku głosu i znalazł dziecko, o które nikt się nie troszczył, zapłakane, trzepocące nóżkami — w wózku, bez poduszek. Co chciał uczynić? Co go tu przypędziło? Fala uczuć i myśli wirem porwała te pytania.

— „Tobiasz! — zamordowała go — Lena — jej go powierzył — macocha, bez serca“ — zgrzytał — „a jej bachor żyje.“ Czerwona mgła opasała jego zmysły, przeszyły go dwa spojrzenia dziecięce; między palcami uczuł coś miękkiego, mięsistego. Słyszał rzężenie, piskliwe dźwięki, przeplatane ochrypłym krzykiem, nie wiedząc, skąd pochodzą.

Wtem na mózg jego spadło coś, niby krople gorącego laku. Oprzytomniawszy, dosłyszał drgające w powietrzu echo dzwonu sygnałowego.

Nagle pojął, co chciał uczynić: odjął rękę od gardła dziecka, które wiło się pod naciskiem jego palców. Z trudem odetchnęło, poczem zaczęło kaszlać i krzyczeć.

— Żyje! Dzięki Bogu, żyje!

Zostawił je i pospieszył ku baryerze. Ciemny dym kłębił się po torze, wiatr przytłaczał go do ziemi. Za sobą słyszał dyszenie maszyny, podobne do urywanego, ciężkiego oddechu chorego olbrzyma.

Po chwili, gdy pierzchły obłoki dymu, Thiel rozpoznał pociąg, służący do przewożenia żwiru. W opróżnionych wagonach wracali robotnicy, którzy w dzień pracowali na torze.

Było ich około pięćdziesięciu, mężczyzn i kobiet. Wszyscy prawie stali, niektórzy bez czapek nawet. Wszyscy mieli zagadkowo uroczyste miny. Kiedy spostrzegli dróżnika, zaczęli szeptać między sobą. Starzy powyjmowali z ust fajki. Maszynista zeszedł na tor i przystąpił do Thiela. Robotnicy widzieli, że uroczyście ścisnął mu rękę, poczem Thiel wolnym, wojskowym niemal krokiem skierował się ku ostatniemu wagonowi.

Żaden z robotników nie śmiał do niego przemówić, mimo że znali go wszyscy.

Z ostatniego wagonu wyjmowano Tobiaszka.

Nie żył.

Wysiadła i Lena, twarz miała niebieskawo-białą, pod oczami brunatne kręgi.

Thiel ani na nią spojrzał, ona jednak przelękła się na widok swego męża. Policzki miał zapadłe, rzęsy i brodę zlepione, włosy więcej, niż dotychczas, siwe. Na całej twarzy ślady zaschłych łez; przytem niepewne jakieś światło w oczach, które zgrozą ją przejmowało.

Przywieziono i nosze, aby na nich ciało przenieść.

Przez chwilę panowała przykra cisza. Thiel zapadł w głęboką, straszną zadumę. Ciemniało. Stado saren wskoczyło na tor. Kozioł stanął między szynami. Wykręcił ciekawie gibką swoją szyję — wtem rozległ się świst — i z błyskawiczną szybkością zniknął z całem stadem.

W chwili, kiedy pociąg miał ruszyć, Thiel stracił przytomność.

Zatrzymano pociąg powtórnie i zaczęto się naradzać, co czynić. Postanowiono złożyć narazie martwe ciałko w budce, a dróżnika, którego żadnym środkiem ocucić nie było można, na noszach przetransportować do domu.

I tak uczyniono. Dwaj robotnicy ponieśli omdlałego, za nimi szła Lena, która wciąż szlochając, z twarzą od łez mokrą, posuwała wózek ze swojem dzieckiem.

Kroczono naprzód szybko, ale ostrożnie, najpierw przez gęsty zagajnik, potem znów obok zagajników, w których blado

wanych truciznach, przeszywają serce. A jego „Damoiselle bénie," która tak bosko się opiera na „balkonie niebios..." Wszystkie te kobiety o włosach masywnych, namiętnych wargach i oczach głębokich, jak toń, wzbudzają nietylko ekstazy platoniczne, ale zarazem i szalone żądze satyrów. Rossetti marzył o miłości Lilithy, pierwszej żony Adama, która nie miała w sobie ani kropli krwi i kochała jak upiór i w tych czasach, gdy synowie niebios spostrzegli, iż córy ziemi są piękne i schodzili ku nim. Celtyzm Rossettiego występuje w formie czysto włoskiej. Jego pokrewieństwo z Fra Angelico, z Filippo Lippi, a szczególniej z Botticellim jest znane. Burne Jones pochodzi w prostej linii od Rossettiego, opracowywa jednak nie południowe, dantejskie, lecz północne legendy z cyklu hr. Arthura. Holman Huret, Millais, Madox Brown — oto inni wybitni uczniowie Rossettiego w malarstwie. Wszyscy należą do tegoż typu.

Takie są czynniki etniczne, służące za podkład dla poezyi i sztuki angielskiej z drugiej połowy naszego stulecia. Ten „celtyzm," jakkolwiek nazbyt oderwany, rzuca niewątpliwie światło na melancholię i fantastyczność, panujące w tych dziedzinach. Ale Grant Allen jest już nazbyt wymagający, gdy na karb celtyzmu chce złożyć jeszcze jedną cechę sztuki angielskiej, demokratyzm. Teutoni mają być z przyrody *bourgeois*, celtowie — demokraci. W rzeczywistości mamy pod tym względem do czynienia już nie z rasą, lecz z „momentem historycznym." Olbrzymia fala demokratyzmu, która zalała Europę w drugiej połowie naszego stulecia, porwała za sobą na chwilę i artystów angielskich. W taki sposób mamy dwa czynniki, wymagane przez krytykę Taine'a: rasę i moment historyczny. Właściwie jednak zadania krytyki w tem miejscu dopiero się zaczynają, gdyż trzeba określić nietylko środek, w którym każdy artysta się rozwijał zosobna i, co główniejsza, niepoddające się rozkładowi czynniki geniuszu, indywidualność każdego z nich. Odsyłamy czytelników do naszych artykułów o Tennysonie, Browningu, Rossettim, Swineburnie i Morrisie. Do ich uczniów jeszcze powrócimy. Dla ścisłości zauważyć trzeba, iż wszystkie te szkoły należą już do dnia wczorajszego. Tennyson, Browning, Rossetti nie żyją, Morris i Swineburne — to dwaj starcy. Teraźniejszość należy do estetów, którzy „nie chcą być brani na seryo" (Oskar Wilde). Romantycy także w swoim czasie dobijali się nieograniczonego prawa błaznowania i blagowania, znajdując w tem wyraz istotnej niezależności.

L. W.

LITERATURA POLSKA.

Wilhelm Feldman, *Jak w życiu*, nowele, 1893.

Feldmanowi, pisarzowi bardzo jeszcze młodemu, wrażliwość na moralną brzydotę zaszkodzi więcej, niż autorom wytrawniejszym. Zatrzymuje się nieraz zbyt długo przy drobiazgach, dlatego, że się mu wydają bardziej godnymi bicza satyry, gdy inne epizody rysuje liniami szerokiemi. Trzecioplanową osobistość zaszczyca ni stąd, ni zowąd całym portretem. Niejednakowym jest i promień tego koła stosunków, które ogarnia, gdy bowiem w jednem miejscu mamy przed sobą głuchą prowincyę, gdzieindziej wystrzela niespodzianie raca pod adresem całego kraju, tak że ostatecznie nie wiemy, kogo oskarża i wydrwiwa, czy pewien dobrze sobie znany zaułek, czy wogóle całą Galicyę. Albo raczej domyślamy się, że ma żółć dla jednego i dla drugiej, lecz nam brak właściwego stosunku w perspektywie linij i powietrza dokucza.

Jest to popierwsze bezporadność kompozycyi — rzecz zła — i powtóre żyłka do scen rodzajowo-charakterystycznych — co stanowi zaletę i dar. Ilekroć wypadnie autorowi przedstawić postać z ludu albo ze sfer chałatowych, zdobywa się na dosadność i wypukłość, którym jeno zarzucić można ciążenie do karykatury. Wtedy też ręka jego nabiera takiej pewności a język swady, że staje się widocznem, iż przebywa w żywiole lepiej sobie znanym, niż inne, i bodaj czy w młodości nie swoim własnym.

Słowem, silną jego stroną są obrazki z nizin. Gdy ten grunt opuszcza, ażeby pobujać w czystej poezyi albo w subtelnym eterze ironii zaczajonej i ukrytej, twórczość jego zaczyna kuleć. „Przy ognisku domowem" widzimy rzecz starą, a mianowicie parę małżonków, którzy skupiają na niewinnej pomywaczce, opowiadającej dzieciom bajki, swą złość za to, że przed chwilą oboje broili. Robota to twarda i zepsuta sadzeniem się na prawdziwy żargon ludowy, do którego autora i gdzieindziej często bierze pokusa. Podobnyż brak zręczności stanowczo skazuje na potępienie niby słoneczny obrazek „Capriccio," gdzie na tle promiennej wiosny i powszechnej miłości szkicuje się oświadczyny starego grata, przyjęte dla karyery przez młode i ładne dziewczę. Natomiast zatytułowane niemniej pretensyonalnie „De profundis" leżą juz daleko więcej w naturze zdolności p. Feldmana i przynoszą próbę ciekawej, dobrze zbadanej psychologii. Pieśń ta nadgrobna, będąca wcale nie uroczystym, ani pobożnym popisem realizmu, odnosi się do wyrostka, który osadzony niesłusznie w więzieniu, śród łotrów i podłych wartowników, tam dojrzewa potroszę, uczy się wielu nowych rzeczy i przebywa systematyczną szkołę zepsucia. Sama myśl wcale nie nowa, bo świadomość niebezpieczeństwa więzień dla małoletnich, zwłaszcza padających ofiarą „omyłki sprawiedliwości," należy do abecadła kryminalistyki, zadanie więc nowelisty sprowadza się do zailustrowania żywem ciałem znanej zasady, tak, aby mogła wzruszyć ustawy i umysły. Nasz autor celu prawie dopiął, bo jego czarne szkice celkowe drgają nieposzlakowaną prawdą i budzą niekłamaną grozę. Być może, że w logice staczania się w dół bohatera brak paru ogniw i że on sam choć młodziutki, zanadto dojrzale najpierw cierpi, a potem się wygraża, ale samo powietrze zamknięcia ze swymi miazmatami zgnilizny, z zaduchem zbrodni i ohydą obojętności władz sądowych austryackich na niedolę ludzką — wypadło zbyt ponuro i przekonywająco, ażeby można było o niem zapomnieć.

Najwdzięczniejsze dla siebie pole znalazł widoczny ten zmysł do wątków szpetnych, nagich do postaci brzydkich lub nieszczęśliwie w „Cudach i dziwach." Jest to więcej niż powiastka, to całe studyum człowieka zawodowo przygotowanego, który odsłania przed zdumionym naprawdę czytelnikiem rzeczy i cudowne i dziwne, choć na pozór dawne i znane. Osnowa — nie zbyt pociągająca, bo główną w niej figurą jest dzieciak żydowski, albo, nazywając rzeczy po imieniu, „bachor." I tło nie należy do najbardziej wonnych i ponętnych, bo jest niem bądź kołyska owego

---

światło księżyca nagromadziło się, niby w wielkich, ciemnych zbiornikach.

Nieprzytomny Thiel wydawał od czasu do czasu rzężenia, majaczył, kilkakrotnie zacisnął pięście, usiłując się podnieść z zamkniętemi oczami.

Dużo kosztowało trudu, zanim go przez rzekę przeprawiono; potem trzeba było wrócić po Lenę i dziecko.

Na wzgórzu osady spotkali kilku jej mieszkańców, którzy wieść o nieszczęściu natychmiast roznieśli.

Ruch powstał wśród całej kolonii.

Przed znajomymi Lena zaczęła znowu wywodzić swoje żale.

Z trudem wniesiono chorego po schodach do mieszkania i natychmiast złożono go w łóżku. Robotnicy wrócili po ciało Tobiaszka.

Starzy doświadczeni ludzie poradzili zimne okłady, Lena usłuchała wskazówki, wypełniając ją pilnie i ostrożnie. Maczała ręczniki w zimnej wodzie studziennej, odświeżając je natychmiast, gdy przeszły ciepłem rozpalonego czoła. Z trwogą obserwowała oddech chorego — zdawało jej się, że z każdą minutą oddech ten staje się równiejszy.

Wzruszenia doznane zmęczyły ją jednak bardzo, postanowiła tedy zasnąć trochę, spokoju atoli nie znalazła. Zdarzenia dnia stały jej przed oczami, bez względu na to, czy zamykała lub podnosiła powieki. Dziecko spało, wbrew zwyczajowi swemu, mało się o nie troszczyła. Wogóle stała się jakąś inną. Ani śladu dawniejszego zuchwalstwa. Tak, ten chory człowiek o bezbarwnem, od potu błyszczącem obliczu, opanowywał ją we śnie.

Chmura zakryła kulę księżyca, mrok zaległ w pokoju, Lena słyszała tylko jeszcze ciężki, lecz równy oddech męża. Rozważała, czyby nie zapalić światła. Robiło jej się jakoś straszno w ciemności; chciała się podnieść, wszystkie członki ciążyły jej ołowiem, powieki zapadły, zasnęła.

Gdy po upływie kilku godzin robotnicy wrócili z trupem dziecka, znaleźli drzwi domu otwarte. Zdziwieni, weszli na schody, lecz i tu drzwi stały otworem.

Kilkakrotnie zawołali Lenę, odpowiedzi nie było. Potarto zapałkę o ścianę, mignięcie światła odsłoniło widok straszliwy.

— „Morderstwo, morderstwo!"

Lena leżała we krwi, z twarzą do niepoznania zmienioną, z roztrzaskaną czaszką.

— Zamordował żonę, żonę zamordował!

Rozbiegli się, tracąc głowy, nadeszli sąsiedzi, jeden z nich potrącił o wózek.

— Święty Boże! — odskoczył, pobladły, ze spojrzeniem osłupiałem od zgrozy. Leżało tu dziecko z podciętem gardłem.

Dróżnika nie było: poszukiwania, przedsięwzięte tej samej jeszcze nocy, pozostały bezskuteczne. Nazajutrz strażnik, pełniący służbę, znalazł Thiela na torze, między szynami, na tem samem miejscu, gdzie pociąg zmiażdżył Tobiaszka.

Brunatną czapeczkę trzymał w objęciach, pieszcząc ją bezprzestannie, jakby istotę żywą.

Strażnik zadał mu kilka pytań, odpowiedzi jednak nie otrzymał; wkrótce wiedział, że ma do czynienia z obłąkanym.

Kilku mężczyzn usiłowało odwieść go za pomocą łagodnej perswazyi z szyn; niestety — bez skutku.

Pociąg pośpieszny, który w tym właśnie czasie przechodził, musiał stanąć; dopiero przemocą jego personelu udało się gwałtem oddalić z toru chorego, który też wkrótce strasznie zaczął szaleć.

Związano mu ręce i nogi i pod dozorem przywołanego żandarma odstawiono do więzienia śledczego w Berlinie, skąd go jednak już nazajutrz do oddziału dla obłąkanych, w szpitalu Charité, przewieziono. Do ostatniej chwili trzymał brunatną czapeczkę w rękach, otaczając ją zazdrosną troskliwością i czułością.

Przełoż. *Malwina Posner*.

KONIEC.

wybrańca, bądź izdebka małomiejskiego kupczyka, bądź cheder hasydowski, w którym kopa bębnów oddycha zapachem betów pani mełamedowej, nieodbicie ustawionych w „szkole,“ albo wreszcie śmietnik podwórzowy, na którym przyszłe filary Izraela ćwiczą się w sztuce rycerskiej— i wieńczą zwycięzców bułką z gęsim smalcem.

A jednak wszystkie te żywioły autor odtworzył z artyzmem. Składa się nań doskonała znajomość przedmiotu oraz odważna sumienność w przenoszeniu na papier szczegółów przykrych. Jest to malowidło z natury: znakomicie tendencyjne, choć bez silenia się na sens moralny. Temat tak trafnie wybrany, że mówi za siebie sam i to mówi rzeczy śmieszno-okropne. Niezrównaną jest prośba żydówki o córkę w pewną noc świąteczną, kiedy nieba się otwierają i Pan Bóg wysłuchuje błagania matek. Pyszny jest święty cudotwórca ze swą nieprzystępnością darmozjada i wyzyskiwacza, gdy swoim nakazem zamienia wyproszoną córkę na syna i zostawia sobie furtkę na wypadek, gdyby zaklęcie okazało się bezskutecznem. Uległość i bierność kobiety, zahukanej ogromem uczoności męzkiej, pokora żydowicy, która w sprawach religii, zakonu i gminy głosu mieć nie może, a więc i do własnego dziecka nie ma prawa — ma w sobie coś żałosno-pociesznego. Czujemy tutaj prawdziwy ciężar brudnej ciemnoty i wierzymy, że się ona w fanatyzmie przed niczem nie cofnie. A więc malec chociażby dwuletni musi iść do szkoły, gdzie mełamed katuje swych pupilów, nieumiejących jeszcze dobrze chodzić. Potem pręgami sinemi okryty przeniesiony zostaje do innej szkoły, gdzie znów dzieciaki biją mełameda. Ponieważ jest tępy i do karyery naukowej zgoła niezdolny, więc pełen próżności Izraela ojciec zachęca go w domu do studyów opowiadaniami o mękach i straszydłach, jakie w piekle czekają nieuków. Gdyby nie spokojny, jowialny ton opisów, które całe dyszą prawdą, możnaby mniemać, że się czyta bajdy albo śni wstrętny, okropny sen, którego bohaterem jest paroletni berbeć. Jego smutne koleje tłomaczą nam wiele rzeczy, pokazują bowiem sam proces tworzenia się chałatowego Izraela, innemi słowy: skrofułów, przemądrzałej głupkowatości, charłactwa, ciemnoty, zabobonu i nędzy. Wypadek odmalowany przez p. Feldmana kończy się jeszcze względnie szczęśliwie, bo śmiercią bohatera. Kiedy ten po zastosowaniu wielu forsownych metod wychowawczych przyniósł wreszcie pociechę rodzicom i w szóstym roku życia poznał „Bublię,“ wydano dla starszyzny miasta przyjęcie z produkcyami i tak opchano nową chlubę plemienia łakociami i kuglami, że zachorował i w ciężkiej gorączce umarł. Taki był owoc poświęceń i bezgranicznej miłości matki.

W „Cudach i dziwach“ literatura zyskała perełkę, a żydzi, dbali o honor domu, dowód, że rozumna i dobra wola więcej widzi i lepiej pojmuje wiele rzeczy, niż oni. Autor umie upiększyć nawet te szpetne sceny kwiatuszkami poezyi i ciepłem współczucia. Włada nadto językiem barwnym i potoczystym i znać, że mu pisanie przychodzi z łatwością. Wobec takich danych można mu, pomimo ciężkie grzechy i wiele niezręczności w innych utworach, wywróżyć dobrą w piśmiennictwie przyszłość.

Cezary Jelenta.

EMANCYPANTKI.

III.

Świat emancypantek, którym strzeliła do głowy chęć posiadania jakiejś idei, wygląda bardzo śmiesznie — według Prusa. Znam karykaturzystów, którzy, chociaż z czego szydzą, czynią to niemal ze łzami w oku; u naszego twórcy Howardówien nie mogę dostrzedz podobnego uczucia, gdy chodzi o zapatrzone w jakąś szerszą ideę niewiasty. Po za wesołym jego śmiechem ukrywa się pewna teza. Prus bowiem i w powieści nie przeniewierza się zawodowi publicystycznemu. Czy weźmiemy złote serduszko Madzi i jej zgoła nie orlą główkę, czy zawiedzione instynkty kwoki, którą odbiegły wychowane pisklęta, jak u pani Latter, lub niewiedzącą co robić ze swoimi wczasami Adę, albo wreszcie narwaną Howardównę, wszędzie, z po za dodatnich i ujemnych, budzących współczucie i wstrętnych typów niewieścich, wygląda ta sama nauka: świat jest dla kobiety czczością nad czczościami, póki nie znajdzie zapładniacza — duchowego i fizycznego. Sama z siebie nie wydobędzie żadnego trwalszego dźwięku, prócz przejmującego dysonansu. Może z jej duszy wytrysnąć uczucie, ale bez mężczyzny nawet ów zdrój życiodajny starga jej siły, jak stało się z Madzią. Słowem, kobieta jest jak bluszcz, który rozwija się bujnie, błyszczy zielonością swoich liści, wabi oko bogactwem swojej przyrody tylko wtedy, kiedy znajdzie potężne drzewo i w nie wpije się swojemi ssawkami, gdy znajdzie mężczyznę. Jak mi się zdaje, taką jest tendencya *Emancypantek.* Może narzucam Prusowi zamiary, których nie miał, takie jednak odniosłem wrażenie z jego utworu.

Świat tedy emancypantek jest bardzo śmieszny w jego oczach. Tak, byłby śmiesznym, gdyby pod farsą nie ukrywała się głęboka tragedya. Czuję żal do autora, że nie dotknął tej strony, kobieta bowiem niechętnie spowiada się z pewnych rzeczy. Schopenhauer czyni ze stosunku małżeńskiego — pojęcie to bierzemy w bardzo rozległem znaczeniu — zasadniczy objaw woli transcendentalnej, stanowiącej jego zdaniem substancyę wszechświata. Mężczyzna posiada wiele możności zaspokojenia do przesytu łaknień owej metafizycznej sprężyny. Wprawdzie nie zawsze dzieje się przytem zadość artystyczno-moralnym upodobaniom, ale wola transcendentalna bynajmniej nie utyskuje na to zbyt gorzko. Co najwyżej, sarka jakaś poetyczniejsza dusza męzka, która za pieszczoty na łonie drugiej formy wcielenia się kosmicznej substancyi nietylko musiała oddać najlepszą cząstkę sił swoich, lecz nadto dorzucić zawartość portmonetki lub w braku jej — zastawić zegarek. Wokulscy, Solscy i inne dzielne temperamenty, jak to zresztą leży w naturze rzeczy, nieraz zrywali taki owoc z drzewa poznania dobrego i złego. A przecież waryują, biadają nad bezcelowością życia i wyprawiają inne łamańce, skoro napotkają jakieś szczególne upostaciowanie woli Schopenhauerowskiej. Cóż zatem dziać się musi w duszy zdrowego dziewczęcia, któremu przyroda dała również zdrowe instynkty, zwyczaje zaś nie pozwalają postępować śladem mężczyzny! Naprzód pojawia się jakaś ciekawość, „takiej ciekawości doznawać musi pisklę, kiedy rosną mu skrzydła.“ Obok niej nieokreślone uczucie. z którego spowiada się Ada przed przyjaciółką, gdy pokazuje swoją pracownię i objaśnia poszukiwania nad porostami. „Pewnego dnia na badanym poroście ukazuje się nowa kropla, listeczek albo guziczek. Widziałam to już sto razy, lecz za każdem pojawieniem się nowej istoty doznaję dziwnego uczucia: ogarnia mnie obawa, radość i coś jakby wstyd... Każdy taki utwór wydaje mi się czemś blizkiem: cieszę się, gdy rośnie, lękam się, gdy spostrzegę objawy nienormalne. Zdaje mi się, że to małe dziecko, które ja stworzyłam, lecz nie umiem go utrzymać przy życiu.“ Jeszcze później dołącza się tęsknota, niejasna, chwilowa. „Czasami jest mi okropnie cicho, szaro, pusto... Wtedy myślę, że cały świat jest taki pusty i nagi, a życie martwe, jak na kamieniach i korach.“ Jakieś smutki przepaściste, troski czarne, zimne trwogi nadciągają już nie jak gwałtowny a krótki huragan, ale jako owe ołowiane chmury jesienne, stojące całymi tygodniami, których nie rozjaśnia żaden czysty promyk słoneczny. Pustka rozsiada się w duszy, każe jej widzieć wokoło brzydotę, uskarżać się na brak wiary w dobro i cnotę, marzyć o jakimś śnie lodowatym. Fałszywe te tony w melodyi życia dźwięczą naprzód dorywczo. Ale lata biegną za latami, wola dopomina się o swoje prawa — bezskutecznie. Pojedyncze tony zlewają się w zgryźliwe akordy, z nich tworzy się z czasem straszna swoim rozdźwiękiem melodya życiowa. W główce powstają myśli — ba, któżby się ich spodziewał pod skromnie zaczesanymi włosami? A jednak sądzę, że istnieją u każdego zdrowego dziewczęcia, tchórzliwie ukryte dla świata, a przedewszystkiem dla filistrów, w najgłębszych tajnikach. A kiedy wreszcie zbliży się owa chwila, gdy wszystkie drgania życia zleją się w jednę rozstrojoną uwerturę, zwaną wstępem do staropanieństwa, jakiż przykry widok moglibyśmy wtedy dostrzedz! Pustka straszna i łaknienie, bez prawa, jakie posiadają Solscy, nasyceni a może przesyceni, do jej zapełnienia. Jedne czepiają się pierwszej lepszej idei: dzisiaj studyują porosty, jutro zajmują się spirytyzmem, lecz w ich zdenerwowanej, niezaspokojonej jaźni wszystko przyjmuje wykoszlawioną, śmieszną postać. Z najzdrowszych istot wychodzą naówczas Howardówny. Inne wezmą pieska za przedmiot swoich modłów. Jeżeli nie z szacunkiem, tedy przynajmniej z głębokim żalem patrzę na to marne godło zmarnowanego życia! A lata biegną nielitościwie i ktoś wciąż nie jest jeszcze człowiekiem: pozostał tylko materyałem na kobietę, siedliskiem instynktów niezaspokojonych i może nawet nieprzebudzonych. Samodzielność myśli, zdrowotność czynu, wszystko zostaje stargane przez tę posępną melodyę. Że w takich warunkach może się zdawać, iż kobieta jest tylko bluszczem, poszukującym „męzkiej bestyi,“ że od niej wyczekuje nawet ideowego zapłodnienia, jest to faktem zupełnie normalnym. Ale cóżby się stało z mężczyzną i z jego sławioną niezależnością, gdyby przy pomocy mamony nie znajdował chwilowych a przelotnych bluszczów? Strindberg, umysł w tym wypadku pokrewny Prusowi, w mężczyźnie widzi zawsze wierzyciela, w kobiecie jedynie dłużniczkę. Inaczej być nie może, dopóki ciążenie ku sobie różnych wcieleń Schopenhauerowskiej „woli“ nie będzie odbywało się w normalniejszym splocie. Westchnień „emancypantek“ w kierunku wątpliwych postaci nie bierzmy zatem za jedno z dowodem, że kobieta nie zdoła się przenigdy zdobyć na niezależność duchową. To nienormalne okoliczności mszczą się na całem jestestwie duchowem i zatruwają je jadem niemocy, śmieszności i histeryi! Prus z zamiłowaniem zatrzymuje się przy tych owocach i obraca dziwactwa wykoszlawionego życia na korzyść tezy, że kobieta, ilekroć podniesie ideę sprawy niewieściej, staje się niby małpą, ale zapomina dać nam analizy głębszej, jakim sposobem wykoszlawiona Howardówna powstała.

Gdyby był poprzestał na świecie dam, flirtujących o wszystkiem i nad wszystkiem, nie czynilibyśmy mu zarzutów, że zoczył jedynie śmieszne typy. Ale potrącił on o warstwę nauczycielek, właśnie jedną z tych grup, gdzie można spotkać najwięcej postaci dodatnich, dodatniejszych, niż Madzia — w tem znaczeniu, że nie tak jednostronnie ukształtowanych. Nie wyczerpał jednak tego materyału, jaki życie mu nasuwało. Nędzny to byt! Ławę szkolną corocznie opuszcza spora garstka dziewcząt, posiadających niewielką odrobinę

wiedzy, z której winny zrobić sobie podstawę utrzymania. Córki drobnych oficyalistów i urzędników, zbankrutowanej szlachty, rzemieślników — tych, którzy w dzisiejszym przełomie rzemiosła muszą kryć się w zaułkach powiśla lub Starego Miasta, sklepikarzów, niekiedy zupełne sieroty, w siedemnastym roku życia stają do walki o kawałek chleba. Przede mną przewinęło się już setki podobnych skazańców. Latanie z lekcyi na lekcyę, wysiadywanie na pensyach, ogłuszająca monotonność zarobkowego deptaku — nie, życie najgorzej zapracowanego studenta jest jeszcze uroczą sielanką w porównaniu z tem piekłem. A posłuchajmy, co mówią ci i tamte. Okaże się, że nie mężczyzna stoi wyżej pod względem moralnym... Jak ów zapracowany młodzian szydzi z maleństwa, które wypadło mu uczyć! Widzisz przed sobą istotę, która do szpiku kości przesiąknęła zasadami frymarku, która zatem za możliwie najlepszą cenę daje najlichszy towar. Chlubi się, że zbył lekcyę. Inna nuta dźwięczy w opowieści nauczycielki, mimo że jest gorzej wynagradzaną. Przywiązuje się do malców, a do sprzedaży sił swoich dołącza nadto niczem nieopłacony wkład uczucia... A życie biegnie; nielitościwe, nie pyta, czy kto go użył. Zarówno na szczęśliwców, którzy go skosztowali, jak i na tych, którzy nie mieli sposobności ugaszenia swoich pragnień, jednako nakłada znamię starości. Takim zaś jest los całego zastępu pracowniczek, wartych czegoś lepszego. W ciągu wielu tygodni mieszkałem przez drzwi z jedną taką pokrzywdzoną. Stała na progu chwili, kiedy z góry wiadomo, że długa droga życia będzie nietylko ciernista, lecz samotna, pełna niezaspokojonego a palącego pragnienia, posiana głodem instynktów, gotowych rzucić się na najplugawsze zwierzę dwunożne lub czworonożne, byleby zapełnić pożerającą tęsknotę. Wbrew woli dochodziły do mnie odgłosy tego steranego stworzenia: godzinami trwające kłótnie, że młodsza siostra wzięła szpilkę ze stołu lub usiadła na koszu, a przecież tamta ją wychowała i utrzymywała z pracy rąk swoich. Takiem niestety jest istotne życie! Tylko w bajkach Madzia wychodzi za zaczarowanego królewicza, posiadającego wszystkie cnoty: i serce, i umysł, i sakwę. W rzeczywistości bywa inaczej. Setki pracowniczek, samotne, borykają się przez całe życie z wewnętrzną pustką i niezaspokojonemi pragnieniami. Niekiedy przed tą i ową mignie wreszcie jakieś światełko, obiecujące rozjaśnić mroki próżni duchowej. Ale zdradliwy to ognik, nie wyjdzie on na dobre biednej ćmie, którą przywabił ku sobie. Zbolałe w samotności a łaknące czegoś dziewczę dowiaduje się, że w świecie istnieją idee. Madzia je także miewa: chce założyć szkołę i wlać w nią całą swoją duszę nie dla zarobku, ale żeby przynosić pożytek, pragnie posiąść dużo a dużo nauki. Dzieje się to w wieku, kiedy dziewczyna ma z górą lat dwadzieścia parę, a zatem w okresie przełomowym, w którym, jeżeli bluszcz nie znalazł swego drzewa, posiada bardzo niewielo prawdopodobieństwa znalezienia go w dalszej przyszłości. Ale zapomniała o tem. Niby ćma rzuca się do ognika i w uroczym zachwycie buja dokoła niego lat parę. Biedactwo zdobywa nową, podnioślejszą miarę do sądu o rzeczach i zaczyna ją przykładać do napotykanej po drodze „bestyi męzkiej.“ Nie jest to zgoła przypadkowem, że właśnie to grono nie znajduje takich mężczyzn, którzy trzymaliby ową miarę. A tymczasem lata biegną, niby woda w ruczaju. Ukazuje się wreszcie pierwsza zmarszczka gdzieś na szyi, w kąciku ust lub na czole, smutna zwiastunka jeszcze smutniejszej przyszłości. W mojej pamięci wypływa parę pokoleń takich zmarnowanych pracowniczek i zawsze z pośród najdzielniejszych.

Przed rokiem, na pogrzebie w Warszawie jednego ze starych znajomych, spotkałem takie ćmy, które bujały około ognika wiedzy przed dziesiątkiem z górą lat. Nie, nie pogrzeb, ale ich obecność wywarła na mnie najcięższe wrażenie. Znałem je, kiedy były jeszcze młodemi dziewczętami. Później, z każdym rokiem mogłem obserwować, jak wżera się w nie gangrena fizyczna i owłada niemi pustka wewnętrzna. A jednak sporo tam było uczucia i wiele myśli. Po długim czasie niewidzenia ujrzałem je znowu: zamiast gładkiej twarzy przedwczesny uwiąd, zamiast pogody wyraz przygnębienia i rozczarowania. Biedne ćmy, popaliły sobie skrzydła. Żal mi ich serdecznie, a jednak żadnej nie odwodziłbym od tego spalenia się we własnym żarze. Może i bez tego ukazałyby się takie same zmarszczki i życie spełzłoby na samotności, lecz ofiara byłaby dopełniona bez zaznania rozkoszy, jakie daje pogoń za wiedzą i uczciwością i jakie płyną z świadomości, że chciało się żyć po ludzku. I teraz patrzę na nowe pokolenie — ale zaprzestańmy tej bolesnej wiwisekcyi. Nie tylko jest ona nieprzyjemną dla mnie, ale i dla stworzeń, leżących pod nożem analizy. Wprawdzie nie obawiam się, że mnie za to rozszarpią lub za przykładem feministek salonowych będą spotwarzały, lecz przy widzeniu się z którąś mógłbym spostrzedz na twarzy niemą wymówkę, że potrąciłem o bolesne struny, czarne troski i zimne trwogi, które usiłuje się pogrzebać w tajemnicy...

Odbiegliśmy zanadto od Prusa. Należałoby do niego wrócić. Ale przyznać musimy, że odpadła chęć wszelka pisania o przedmiocie, który zawiódł nas na takie posępne tory. Urywamy zatem naszą krytykę uwagą, że Prus bezwarunkowo znalazłby w życiu o wiele dodatniejsze typy emancypantek — jeżeli już koniecznie mamy używać tego miana, aniżeli te, które nam dał. Utwór jego, któryśmy przeczytali z przyjemnością, z jaką czyta się każdą pracę talentu, dostarczył nam, w końcowym swoim rezultacie, poniekąd wrażenie pamfletu — przeciwko dążeniom kobiety do wiedzy i samodzielności.

K. R. Żywicki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z POZNAŃSKIEGO.

5 marca.

Komisya kolonizacyjna w r. 1894. — Bank ziemski. — Wybory w powiecie prądnickim. — Nasi rolnicy.

Ministeryum przedstawiło już sejmowi pruskiemu przepisany memoryał, dotyczący działalności komisyi kolonizacyjnej w r. 1893. Autorzy jego żalą się i w niniejszym, jak i w poprzednich, na liche zbiory, a z cyfr, które przytaczają, przekonać się można z łatwością, że komisya nie jest w stanie wygospodarować z nabytych przez nią włości nakładów, jakich na swoje dzieło cywilizacyjne nie szczędzi.

Komisya ma obecnie trzy wydziały. Pierwszy zajmuje się kolonizacyą w ścisłem tego słowa znaczeniu, drugi zakupnem i administracyą dóbr nierozparcelowanych, trzeci sprawami melioracyjno-technicznemi i budowlanemi, podziałem i pomiarami. Nadto komisya posiada swoją specyalną kasę.

W r. 1893 zaofiarowano jej do nabycia z wolnej ręki 135 dóbr i 29 gospodarstw włościańskich, z ręki słowiańskiej 52 dóbr i 22 gospodarstw, z niemieckiej 83 i 7. W rzeczywistości jednak zakup był znacznie niższy od podaży, gdyż nabyto tylko 13 dóbr większych i jedną mniejszą posiadłość na zaokrąglenie pewnej większej przestrzeni fiskalnej.

Zakupiono w obwodzie regencyjnym kwidzyńskim: dobra rycerskie Pniewo, Dorposz, Waldowo i gospodarstwo w Kruposzynie. W obwodzie poznańskim: Stanisławowo, Skotniki, Latalice, Pogrzybów, Przybysławice, Strzydzew. W obwodzie bydgoskim: Tonowo, Siedleczko, Arkuszewo, Radojewice. Obszar ziemi nabyty przez komisyę w r. 1893 wynosi ogółem 8424 hekt. 61 a. 25 metrów. Przeciętna cena 1 hektara, płacona przez komisyę, wynosiła 626 mr. (w r. 1892 za 1 h. dawano przeciętnie 549 mr.).

Zgłaszających się do nabycia gruntów jest zawsze bardzo znaczna ilość. Z W. Ks. Poznańskiego i Prus zachodnich przyjęto ich 534, z innych dzielnic niemieckich 789 kolonistów, z poza granic Niemiec 64. Podług wyznania jest ewangelików 1257, katolików 130. Koloniści najchętniej sprowadzają się do wielkich włości, w których istnieje znaczna liczba osad i w których kościoły i szkoły są na miejscu lub w blizkości. Położenie ich finansowe w r. 1893 w porównaniu z latami ubiegłemi poprawiło się, mimo to wielu osadników nie uiszcza się w przepisanych terminach z opłaty renty, dzierżawy, procentów i amortyzacyi pożyczek uzupełniających, z opłat za dane im pole obsiane i za inwentarz. Nowo utworzone kolonie zaopatruje komisya w drzewo olszowe, które nabywa w szlachetnych gatunkach tysiącami.

Ogólny rozchód komisyi od czasu jej istnienia aż do 1 kwietnia 1893 wynosił 54,310,332 marki 28 fen.

O ileż skromniej wygląda Bank ziemski ze swoim kapitałem 1,200,000 marek, którym obraca, ilekroć tylko zdarzy się odpowiednia chwila! Urządził wprawdzie tylko 41 kolonii na obszarze 8,158 hektar. z 728 osadnikami, ale kapitał jego przynosi prawidłowy procent 4% i wymaga szybkiego powiększenia, gdyż już stanowczo tamuje działalność samejże instytucyi finansowej, która przestała uchodzić za dobroczynną. Gdy kapitał komisyi kolonizacyjnej w miarę rozrostu stanowczo daje straty, Bank powiększa swój o 800 akcyi.

Niejednokrotnie w ubiegłym roku zaznaczałem, że Szląsk zaczyna się emancypować, a lud jego budzić do życia. Gdy sprawa wyboru w powiecie prądnickim przyszła na porządek dzienny, komitet, jak zwykle nie oglądając się zupełnie na życzenia ludności miejscowej i nie słuchając głosu opinii publicznej, przeznaczył na kandydata p. Delocha, dziedzica Dobieszowa. Osobistość ta atoli od pierwszej chwili popularną nie była i nie zgadzała się z wolą dojrzałego ludu. O kandydacie wiedziano na pewno, że w parlamencie bez trudów zgodzi się na wszelkie podatki i wydatki, jakich tylko rząd wymagać będzie, że potrzeb ludu wiejskiego, zwyczajnego wyrobnika, gospodarza, kupca i rzemieślnika zupełnie nie zna i że będzie posłem „malowanym.“ Rzucono się do agitacyi przeciw niemu, przeciwstawiono mu gospodarza Strzodę z Wirów. Skutek był taki, że Strzoda otrzymał 7,565 głosów, p. Deloch miał ich tylko 2,746. Ponieważ zaś w takim wypadku musi ktoś być winowajcą i za niepowodzenie odpowiadać, przeto uradzono, że winien redaktor *Katolika*, który „zerwał solidarność“ z komitetem i agitował za Strzodą. Prawda jest zawsze względną, otóż i w powyższym zarzucie ona częściowo się mieści, bo jakkolwiek *Katolik* nie zrywał spójni z komitetem, gdyż nigdy z nim się nie łączył, to rzeczywiście Strzoda w znacznej części zwycięstwo swe zawdzięcza jego redaktorowi. Ten ostatni dołożył wszelkiego starania, by p. Deloch pozostał na stanowisku *kandydata* na posła.

Dość podejrzanej wartości tryumfy „agrarzystów" berlińskich nie dają spokoju naszym ziemianom, którzy ciągle przemyśliwają nad „gruntowną" poprawą swej doli. Potrzebuje ona poprawy, to pewna, tylko gdzie ją znaleźć. Tu wszelkiego rodzaju wiece — chociażby ich sto na miesiąc urządzano — nie pomogą, nie pomogą również izby rolnicze, obecnie projektowane; renta z ziemi stale będzie się obniżać i musi się obniżać. Ponieważ zaś własność ziemska obciążoną jest długami hipotecznymi, od których płaci się wyższe odsetki, aniżeli je ziemia dać może, więc rezultat takiego budżetu nader łatwy do przewidzenia.

t. z.

HYGIENA W LITERATURZE I ŻYCIU.

II.

Dopóki w mniemaniu powszechnem przez rozpasanie fizyologiczne zagrożona była jednostka, mniej zwracano uwagi na następstwa. Dopiero gdy sprawdzono, że obok szkody moralnej przynosi ono fizyczną dla ogółu i całych pokoleń tudzież materyalną — dla państwa, wejrzano poważniej w stan rzeczy. Paryzka Akademia lekarska pod przewodnictwem Ricorda z udziałem najznakomitszych lekarzy przedsięwzięła rzetelną pracę w tej mierze i przesłała do ministeryum raport, który wskazuje niebezpieczeństwo, grożące rodzinie i państwu; między innemi stwierdzono olbrzymią śmiertelność dzieci, dotkniętych syfilisem dziedzicznym. Nadto, na tle całej grupy chorób zakaźnych tego rodzaju, rozwija się w rodzinie nerwowość i bezpłodność—najważniejsze czynniki zniedołężnienia fizycznego i zmniejszenia się ludności. Profesor Pelmann z Bonn twierdzi, że przymiot i prostytucya są to dwie klęski, ściśle z sobą związane i gdyby tę drugą można było wygnać, znikłaby pierwsza, a ludzkość uwolniona byłaby od niebezpieczeństwa nierównie większego niżeli przedstawia cholera. Wernicke zaleca obok surowego prześladowania stręczycieli i stręczycielek nierządu — ograniczenie praw wychowawczych rodziców rozpustnych lub opiekunów, karanie świadomego tajenia chorób zaraźliwych płciowych, zaprowadzenie świadectw zdrowia dla robotników i służby męzkiej. Środki te poniekąd istnieją w paragrafach niemieckiego prawa karnego; a czy były one stosowane z całą ścisłością w życiu i czy wydały pomyślne owoce?

Znakomity psychiatra, profesor August Forel w Zürichu, radzi, iżby państwo karało stręczycielstwo i wszelką przynętę do rozpusty, a natomiast na swobodny i prywatny nierząd nie zwracało wcale uwagi, dopóki nie daje on powodu do zgorszenia publicznego. Zdaniem jego, nie należy poddawać pod kontrolę policyi kobiet rozpustnych, ani też zamykać ich w domach publicznych; trzeba je raczej umieścić w zakładzie poprawczym. „Gdy dorosłe osoby płci obojga we własnych mieszkaniach oddają się rozpuście, to jest ich rzecz prywatna." Wrogowie nierządu i zarazem autorowie przeróżnych projektów walki z tą klęską, zwracają uwagę na to, że ludność wiejska, nieposiadająca „zorganizowanej" prostytucyi, nie podlega zarazie w tak olbrzymim procencie, jak mieszkańcy miast.

To, cośmy powyżej powiedzieli, jest w obecnej dobie ogólnym zarysem walki muchy ze słoniem. Działania dają się podzielić na dwie grupy: praktyczne, tonące w ogromie faktów nieubłaganych i teoretyczne, stanowiące już pokaźny odłam literatury. Wybierając z tego wszystkiego, należy chyba za najskuteczniejszą uznać wstrzemięźliwość i to nie wynikającą z pobudek moralnych, lecz zwyczajnej ostrożności. Ale i w tym razie staje na drodze nieubłagany, wielki i silny sprzymierzeniec rozpasania fizyologicznego — alkoholizm. „Do domu publicznego droga wiedzie najczęściej przez knajpę"—powiada Kornig; dodajmy, że stan nietrzeźwy jest najprzyjaźniejszym do przyjęcia chorób zakaźnych. Jakąż więc przegrodę można postawić na tej drodze? I tutaj ruch moralno-społeczny zaznaczył swą działalność. W całym świecie ucywilizowanym istnieją stowarzyszenia wstrzemięźliwości (w Europie powstały około r. 1848), które się dzielą na dwie grupy: jedna uznaje zupełną wstrzemięźliwość (najwięcej w Ameryce, Anglii, Norwegii, Szwajcaryi), druga — umiarkowanie (w Niemczech, Francyi, Belgii i Irlandyi). W nowszych czasach powstały w Niemczech trzy związki: „Niemieckie Towarzystwo przeciwko nadużywaniu gorących napojów, Towarzystwo niebieskiego krzyża (wzięło początek w Szwajcaryi) i Stowarzyszenie Templaryuszów (*Guttempler*). Po za tem najsurowszy jest w Dreznie (od r. 1889) „Związek przeciwników alkoholu (*Alkoholgegenerbund*). Dziś już istnieją na całych obszarach germańskich rozsiane towarzystwa obwodowe, odrębne i samodzielnie. Obecnie zaś w Monachium powstało stowarzyszenie wstrzemięźliwości, działające przeciwko piciu piwa. Prezesem jest dr. Pettenkofer, do członków między innymi należy dr. Voit. Towarzystwo to powstało pod wpływem przekonania, że piwo w dużej ilości używane „ogłupia, odbiera, energię i osłabia władze umysłowe."

W Poznańskiem walkę z alkoholizmem jeszcze przed półwiekiem prowadził *Zwiastun wstrzemięźliwości.* Obecnie działa tam osobne Towarzystwo i specyalny jego organ; prócz tego są inne odrębne związki, również z dążnością dwojaką: bezwzględnej wstrzemięźliwości i umiarkowania. W Ameryce, jak pod każdym innym względem, najsilniej rozszerzyła się walka z alkoholizmem tak dalece, że już zakazano produkcyi i sprzedaży napojów wyskokowych w kilku stanach (Maine, New-Hampshire, Vermons, Jowa, Kansas, Północna i Południowa Dakota). Sprawa zakazu fabrykacyi, dowozu i sprzedaży trunków na całem terytoryum Stanów Zjednoczonych przed paru laty, jako wniosek senatora Blaira i Picklera, oparła się nawet o izbę wyższą i niższą. Ruch przeciwko alkoholizmowi ujawnił się także w Rosyi, szczególnie śród niektórych sekt religijnych.

Po za działalnością prywatną daje się spostrzegać prawodawcza i gdy z zapałem, dobrą wiarą, a nieraz z fanatyzmem toczy się ta walka na wszystkich obszarach świata ucywilizowanego, jak gdyby na urągowisko, wychodzą na jaw fakty w oświetleniu zimnej, obojętnej na wszystko statystyki: R. 1890 w Anglii na mocy wyroków sądowych zamknięto do więzienia 190,000 przestępców, z tej liczby było 69,000 recydywistów, z których około 10% karano po kilka a nawet kilkanaście razy. Znaczna ich liczba wyrosła na gruncie alkoholizmu. W tym samym roku Anglia zaznaczyła 2,200 samobójstw, 280 śmierci głodowej i *trzy tysiące* wypadków utraty życia z pijaństwa. A przecież oprócz licznych kółek wstrzemięźliwości, w kraju tym istnieje dość surowe prawo przeciwko opilstwu.

Nierząd, syfilis z całą grupą chorób pokrewnych i alkohol, jeszcze nie zamykają w sobie całkowicie zła duchowo-fizycznego. Z większą siłą na zagładę ludzką czyhają suchoty, które również w niniejszych warunkach znalazły niezmiernie przyjazny grunt dla siebie. Posłuchajmy, co mówi Leon Petit w odczycie p. t. „Gruźlica i małżeństwo," wygłoszonym we francuskiem Towarzystwie popierania wiedzy: „W świecie cywilizowanym przy końcu XIX stulecia na pięć wypadków śmierci co najmniej jeden przypada na gruźlicę. We Francyi powoduje ona corocznie 150,000 wypadków śmierci, czyli że ta klęska ludzkości może w ciągu lat szesnastu zgładzić takie miasto, jak Paryż. Żadna zaraza, cholera, dynamit, żadna, słowem katastrofa nie może być porównana z tem, niebezpieczeństwem. Gruźlica jest więcej niż chorobą, jest kwestyą społeczną, więcej niż kwestyą społeczną, bo ogólno-ludzką — kwestyą życia lub śmierci." Ażeby dać pojęcie, jak straszliwe czyni ona spustoszenia śród małżeństw, autor opowiada historyę o owernijczyku, węglarzu, który mając łagodny przebieg suchot, ożenił się z ładną zdrową dziewczyną ze wsi, niemającą ani śladu jakiegokolwiek cierpienia dziedzicznego. Po roku już owdowiał; żona zmarła na gruźlicę. W przeciągu lat kilku pochował jeszcze cztery żony, które się zaraziły od niego suchotami. Petit przytacza jeszcze szereg innych smutnych faktów tego rodzaju i przypuszcza, iż niema w ciągu całych wieków rodziny, w której nie można byłoby znaleźć przynajmniej jednej osoby, ulegającej jakiejbądź z chorób, za dziedziczne uważanych (obłęd, choroba cukrowa, rak, gruźlica). „Byłoby okrutnem i całkiem nieludzkiem karać niektórych potomków za choroby ich rodziców i dozwalać na związki małżeńskie tylko ludziom zupełnie zdrowym i zrodzonym z rodziców nieskazitelnych pod względem zdrowia. Gdyby bowiem hołdować temu zgubnemu radykalizmowi, nic pozostałoby nic innego, jak znieść małżeństwo." Istotnie po wprowadzeniu takiego rygoru, państwa znalazłyby się w wielkim kłopocie, gdyż ludność jednych warstw spadłaby do niebezpiecznego minimum, w innych — po pewnym czasie zamieniłaby się na nieprawą, wymagającą szczególnej opieki i uregulowania. Ponieważ zaś przy obecnym porządku rzeczy bodaj największa śmiertelność szerzy się środ gromad „nieprawych," wydziedziczonych, więc wogóle zakaz żenienia się ludziom obarczonym dziedzicznemi chorobami ciężkiemi, sprowadziłby jaknajfatalniejsze skutki dla ludzkości. Na szczęście pozostaje przekonanie świata lekarskiego, że „w gruźlicy dziedziczność jest możliwą, że jest nawet prawdopodobną, lecz nie jest bynajmniej nieubłaganą i nie posiada znaczenia tak doniosłego, jakie się jej zwykle przypisuje." Wróg ten jest najniebezpieczniejszy, ale ponieważ nauka poznała go dokładnie, więc i walkę umożliwiła, zdaniem uczonych.

Zanim atoli Robert Koch obwieścił światu wiekopomne odkrycie, ludy dzikie znały już zaraźliwość gruźlicy. Według opowiadania badacza Crevaux'a, indyanie tobazyjscy uciekają od wszystkich cudzoziemców kaszlących i wystrzegają się nie tylko człowieka, ale jego wszelkich przedmiotów i odzieży. Być może, że obok instynktu działa tutaj smutne doświadczenie. Przed rozrostem cywilizacyi choroba ta nie była wcale znana w wielu krajach Indyi i Ameryki, odkąd zaś rozwinęli swoje działania misyonarze i pastorowie protestanccy, gruźlica dziesiątkuje ludność miejscową. Na jednej wyspce, gdzie osiadł pastor z żoną suchotnicą, mieszkańcy w ciągu niewielu lat zupełnie wymarli. Jakiż więc istnieje środek walki z tym znanym i potężnym wrogiem? Zakaża on przez plwociny. Otóż specyaliści radzą w tym zakresie wytężyć wszelkie usiłowania. Przedewszystkiem są niebezpieczne lokale, zajmowane przez suchotników, hotele, czytelnie i książki w miejscowościach leczniczych. A wagony? „Dla przywrócenia sobie zdrowia — mówi Petit — zamożni chorzy zamykają się na samym wstępie przez dwadzieścia godzin w pudle wyścielanem, ideale zakażenia — w przedziale wagonu kolei żelaznej. Alež sto razy przekładam wagony dla trzody! Te są przynajmniej odkażane, podczas gdy nigdy nie pomyślano o dezinfekcyi pociągów zbytkow-

nych, wożących suchotników tysiącami na południe!" Przyjechawszy na miejsce, chorzy wprowadzają się do hoteli, lub do wil umeblowanych, gdzie w przeddzień zmarł jakiś suchotnik.

Ludzie z tych warstw mogą osiągnąć największe wygody i względne zdrowie w domu, naturalnie przy znacznych kosztach. Ale co zrobić z ubogimi? Petit krótko się z nimi załatwia: „niech idą do szpitala!" Przedewszystkiem nie wystarczyłoby dla nich szpitalów, ani kosztów utrzymania, a co najważniejsza, ludzie ci, których autor chce zamknąć w owych zakładach, stanowią setki tysięcy, jeżeli nie miliony i w znacznej części, pomimo choroby, utrzymują całe rodziny. Widziałem nieraz włościan - suchotników, którzy do ostatniej chwili życia chodzili jeszcze w pole lub na zarobki. Fakt ten jest także pospolity śród ludności fabrycznej. Chory z tej kategoryi nie zna ani domów zdrowia, ani lekarzy i dezinfekcyj; pracuje on na utrzymanie rodziny dopóty, aż się ostatnia kropla sił wysączy i życie zagaśnie. Petit, wskazawszy środki odkażania mieszkań, spluwaczek, wagonów, rozdzielania zdrowych członków rodziny od chorych, woła: „zwycięztwo jest *prawie* zapewnione." Ale to *prawie* jest oceanem, którego wypompować niepodobna. Autor widocznie zapomniał, że oprócz lokalów, spluwaczek i wagonów zbytkownych, są jeszcze ulice, fabryki, biura, wagony robotnicze i trzeciej klasy, dworce kolejowe, schody domów i owe chodniki na marmurowych stopniach itd., które są wielkiemi ogólnemi spluwaczkami, że codzień na każdym kroku miliony ludzi oddychają tumanami kurzu, zmieszanego z miliardami laseczników Kocha. Wobec atoli tego stanu beznadziejnego nie powinniśmy rąk opuszczać. Należy wszystko robić, co tylko zmniejsza możliwość zakażenia, więc: spluwaczki z płynem dezinfekcyjnym w szkołach, na schodach, w wagonach, hotelach, dworcach kolejowych itd. Pożądanem byłoby, ażeby chorym na piersi, udającym się do miejsc leczniczych, dawano wagony osobne. Po za tem wszystkiem zabójcze skutki choroby tylko wtedy się zmniejszą, gdy warunki pracy nie będą tak trawiące, a odżywianie i mieszkania tak liche, jak obecnie. Jestem przekonany, że organizm silny w przyjaznem otoczeniu, nawet z lasecznikami gruźliczymi w sobie, może się oprzeć rujnującemu rozwojowi choroby.

Zenon Pietkiewicz.

PAMIĘTNIK.

Z powodu wystawy nasion.

Zamiast nasion, my właściwie wystawić powinniśmy nasze niedołęztwo, gdyby ono tylko upostaciować się dało. A może wielkopaństwo! Niech każdy wybiera, co woli. To tylko jest pewnem, że nad Wisłą siedzą albo nieznane już cywilizacyi europejskiej niedołęgi, albo wielcy panowie, którzy nie chcą kalać się pracą ordynarną i wyręczają się w niej łapserdakami z Niemiec, Francyi i Anglii. P. Dippe z Kwedlinburga, który posiada w swych plantacyach nasion więcej, niż Warszawa, rur wodociągowych, magazynów i listów zastawnych Tow. kred., u którego pracuje codziennie kilka tysięcy ludzi, obok 200 wołów i 200 koni, p. Dippe — mówię — który na tem podłem zajęciu zebrał majątek, o jakim nasi hrabiowie nie mają pojęcia, jest tak grzeczny, że nas uwalnia od trudu i dostarcza wszystkiego, czego potrzebujemy: buraków cukrowych i pastewnych, marchwi, kapusty, kalarepy, rzezdy itd. A nietylko on! Z nim dzielą się tą przykrą obsługą pp. Villmorin, Mette, Kaiser i wielu innych. Zapewne jesteś ciekaw czytelniku, czy też, gdybyśmy pokonali w sobie wstręt do tak marnej roboty, jak hodowla nasion i przenieśli ją nad posadkę przy tramwajach lub kolei z pensyą 500 rs. rocznie, nasz klimat i warunki fizyczne pozwoliłyby nam osiągnąć dobre rezultaty? Niewątpliwie, czego dowodem są przedsięwzięcia i próby tego rodzaju wykonane u nas, ale brak nam dwu rzeczy: 1) żebyśmy woleli pracować produkcyjnie, niż zajmować posadki, 2) żebyśmy zrozumieli, że tu dyletantyzm a tem mniej fuszerka nie może liczyć na trwałe powodzenie. Jeżeli uwierzywszy w to, czytelniku, zechcesz zwrócić swe siły ku takiej hodowli i dla zapewnienia sobie zbytu udasz się do tutejszych składów nasion, wszędzie przeprowadzisz taką rozmówkę:

— Zamierzam uprawiać nasiona warzyw; czy pan ode mnie będzie je kupował?

— Nie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nie będę miał żadnej rękojmi, iż to, co mi pan sprzeda, będzie tem istotnie, a w ziarnie rozróżniać nie można.

— Więc pan przypuszczasz, że będę oszukiwał?

— Ja niczego nie przypuszczam, tylko mówię o pewności mojego doświadczenia. Niech pana to nie dziwi i nie obraża. My wszyscy, składnicy, ilu nas jest w Warszawie. próbowaliśmy stosunków z tutejszymi rolnikami i każdy z nas oparzył się w jednaki sposób. Naprzód otrzymywaliśmy nasiona dobre i czyste, potem zaczęły ukazywać się niepożądane przymieszki, a wreszcie okazało się, że zamiast kapusty nabyliśmy i — co gorsza — sprzedali rzepak, a zamiast buraków cukrowych pastewne— lub odwrotnie. Nasz klient nie uwzględnia tego, że nas oszukano, tylko pamięta o tem, że my go, chociaż bezwiednie, oszukaliśmy. Raz zawiedziony, nie powraca już do takiego składu więcej. Zrozumie pan, że my nie mamy żadnej chęci ani narażać kogoś na straty, ani dyskredytować własnego interesu. Dlatego sprowadzamy nasiona z zagranicy. Mamy przytem matematyczną pewność, że Vilmorin lub Dippe prowadzą hodowlę z aptekarską dokładnością, że zbierają nasiona z roślin wyborowych, że ich administracya nie pojedzie na bal wtedy, kiedy trzeba młócić ziarna, że tam parobek lub dziewka nie pomiesza rzepaku z kapustą, że wogóle cała robota odbywa się z matematyczną ścisłością. Wyższe ceny i cła wcale nas nie obchodzą, gdyż płacą je klienci, natomiast nie tracimy ich zaufania, gdyż zaopatrujemy każdego w towar rzetelny.

— Więc cóż zrobić, ażeby to zaufanie pozyskać dla produktu miejscowego?

— Proszę pana, o to trzeba się starać długo, bardzo długo.. Zresztą powiedzmy sobie w cztery oczy: my nie do tego...

Powiedzmy to sobie w milion ócz! Rzeczywiście my nie do tego. A jednakże kraj nasz mógłby hodować olbrzymie masy nasion i mieć dla nich również olbrzymi rynek wewnątrz państwa. Trzeba tylko tak wziąć się do pracy, jak Villmoriny, Dippowie i inni, na których składnicy przysięgają.

Niektórzy już się nawet wzięli lub zamierzają to uczynić, ale... Kto zdołał policzyć wszystkie nasze *ale*. Jest między niemi także dziwna nieudolność kupiecka. Tu i owdzie prowadzone są umiejętnie jakieś hodowle — zwierzęce lub roślinne — ale rzadko kto o nich wie, gdyż producenci nie uważają za stosowne ogłaszać ich i czekają, ażeby Kolumbowie odkrywali u nich Amerykę. Takie świadectwo wystawia ziemianom *Gazeta rolnicza*, która przecież ich zna a obrażać nie myśli. „Podczas kiedy obory i owczarnie zagraniczne reklamują się na wszystkie strony, nasi hodowcy milczą uparcie. I nietylko nie ogłaszają się, ale nawet interpelowani nie odpowiadają. Chcieliśmy zgromadzić w *Gazecie* dane o hodowli krajowej i pomieściliśmy odnośną odezwę p. Sypniewskiego, który podjął się dostarczony materyał opracować. Otóż zmuszeni byliśmy myśli tej zaniechać, bo interesowani nie uznali za właściwe odpowiadać." Ale to im nie przeszkadza piorunować, że ktoś nasienie owsa lub marchwi sprowadza z zagranicy.

A więc?

Wniosek bardzo prosty: jeżeli nas stać na to, ażebyśmy zamiast polować na nędzne posadki i bogate żony, zajmowali się umiejętnie i sumiennie pracą produkcyjną oraz jej owoce wprowadzili na drogi handlowe, to kształćmy odpowiednio nasze dzieci, nie każmy im z prośbami oblegać biur kolei i tramwajów, lecz hodować nasiona lub coś innego. Jest to bowiem dla nas pewnikiem niewątpliwym, że w naszym kraju każdy, bezwzględnie każdy, kto się poświęci wyłącznie uprawie czegoś, ale uprawie rozumnej i rzetelnej, zdobędzie sobie podstawę daleko lepszego i bezpieczniejszego istnienia, niż je dać może jakakolwiek posadka.

Echa eusapizmu.

Przez wzgląd na prace i zasługi malarskie p. H. Siemiradzkiego, pomijaliśmy milczeniem jego kilkakrotne występy w sprawie medyumizmu, które kazały nam szczerze żałować, że w tak dużym talencie utkwił tak mały — powiedzmy najgrzeczniej — krytycyzm. Ale p. Siemiradzki widocznie nie chce, ażeby na te jego występy życzliwość spuszczała kurtynę, bo oto znowu opowiedział nam parę cudów eusapizmu. Pierwszy z nich polegał na tem, że podczas doświadczeń z Eusapią ukazała się na ścianie jasna plama, którą p. S. chciał zbadać, ale na nieszczęście (rozumie się — dla nauki) zapalono światło. „Tymczasem rozwiała się *brzemienna zjawiskami* mgławica i już się więcej nie pokazała. A szkoda, bo mielibyśmy ładne rzeczy; *wiedziałem już, co to było.*" Co? — pytacie. P. S. nie objaśnia, ale my się domyślamy. Wspomina on przedtem, że chcąc uspokoić Eusapię, dał jej admonicyę, ale „był to groch na ścianę." Otóż owa świetlna plama była, według nas, grochem rzuconym na ścianę eusapistów. Cud drugi przedstawił się również „brzemienny zjawiskami." P. S. ukrył w dłoni „kilka zwiędłych listków, które odegrały zagadkową rolę na jednem z posiedzeń medyumicznych" i ilekroć bądź dotknął Eusapii, bądź tylko zbliżył do niej swe ramię, czuła ona jakąś niewidzialną rękę. Nauka ścisła będzie umiała w właściwy sposób zużytkować i tę „brzemienną zjawiskami mgławicę" i te „zagadkowe listki" — bo przecież ma ona u nas p. Rybkę — my tylko zapytamy: gdyby nie znakomity malarz, ale jego pędzel zaczął nagle rozumować i zbierać „fakty," czy też zdobyłby się na coś równie naiwnego? P. S. przewidując niewiarę i śmiech z jego spostrzeżeń, pociesza się tą myślą, że „wisieć" będzie w dobrem towarzystwie — Matuszewskiego, Prusa i Ochorowicza. Otóż my możemy wskazać mu jeszcze lepsze towarzystwo. Za parę tygodni zbiera się w miejscu zamieszkania artysty, w Rzymie, kongres lekarzów z całego świata. Niechże im p. S. pokaże Eusapię, „brzemienną zjawiskami mgławicę" i owe „zagadkowe listki," w których tkwi niewidzialna ręka. Jesteśmy pewni, że całe to uczone grono przejdzie na eusapizm, a warszawskich wyznawców tej wiary zamianuje jej patronami. Już może nigdy panu S. nie nastręczy się równie dobra sposobność otworzenia nowej ery pod znakiem „rozszczepionej ręki" i „wydętej spódnicy" — ery, w której my, jako zatwardziałe niedowiarki, powiesimy się dobrowolnie dla uczczenia tryumfu „nowych prawd" i ich głosicieli.

Jubileusz K. Zalewskiego.

W ubiegłą środę przyjaciele autora wielu komedyj obchodzili pamiątkę 25-lecia jego pracy dla sceny składkową ucztą. Słusznie uwydatnili oni w tym obchodzie działalność Zalewskiego dla teatru, gdyż w niej objawił on najwyraźniej swój talent i położył największe zasługi. Nie mamy ścisłego obliczenia, kto z trójcy — Bałucki, Lubowski, Zalewski — największą ilość razy i najtłumniej sprowadzał publiczność do teatru, zdaje nam się jednak, że trzeci nie był ostatnim. Zamiłowany w tej instytucyi, jej rozwoju, dziejach, wpływach, żył on przez ćwierć wieku jej życiem daleko bardziej i wyłączniej, niż jakikolwiek inny autor polski. Nietylko żył, ale i pracował dla niej ustawicznie. To też gdybyśmy myślą usunęli z repertuaru jego sztuki, przedstawiłaby się ogromna szczerba. Nie będziemy dziś oceniali tych utworów, posiadających nieraz najwyższe przymioty sceniczności, gdyż czynimy to po każdem przedstawieniu nowego, jubilat zaś znajduje się dopiero w sile wieku i jeszcze może podwoić szereg swych prac; zaznaczamy tylko ogólnikowo uczczenie zamknięcia jednej doby jego publicznego życia.

„Szanowna publiczność.“

Hurctowi, kiedy zbierał zapatrywania pisarzów francuskich na dzisiejsze hasła literackie we Francyi, któryś z parnasowców, spoglądających z góry na ten padół codziennego życia, rzekł z przekąsem, że nad piśmiennictwem zapanował dzisiaj nowy władca, a zwie się: ulica. Bynajmniej nie należymy do bałwochwalców, uważających za swój obowiązek bić czołem przed gawiedzią, dogadzać jej upodobaniom i spotwarzać to, ku czemu czuje ona wstręt, słowem być na żołdzie tego stugłowego mecenasa. Ale swoją drogą żywo on nas obchodzi. Nawet walcząc systematycznie przeciw niemu, nie zapomnimy, że literatura tylko wtedy ma jakiś sens, kiedy nie spuszcza z oka tego zbiorowego potworu, rzadko zabierającego głos w sposób ludzki, tj, członkowany. Jego gusty godzi się znać, z jego uprzedzeniami należy się liczyć. Ale jak dojść do tej znajomości? Ktoś właśnie w jednem z pism codziennych zręcznie podniósł sprawę „szanownej publiczności.“ Wziął z wypożyczalni książek kilka dzieł, które zyskały trochę więcej uznania i zaczął przeglądać uwagi, czynione przez czytelników na marginesach, pustych miejscach itp. Otóż wydobył on z tych ulotnych studyów parę ciekawych szczegółów, przedewszystkiem zaś wyłuskał z nich jeden nader doniosły naszem zdaniem fakt. Mniemam, że każdemu z naszych krytyków estetycznych, zanim ujmie swój skalpel, nie zawadziłoby odbyć coś w rodzaju terminowania, mianowicie również wziąć z czytelni książki bardziej rozchwytywanych autorów i przyjrzeć się pisanym apostrofom. zdradzającym, co nurtuje ową bezosobową gromadę publiczności. „Prawie nigdy — objaśnia wspomniany obserwator — krytykom tym nie idzie o dzieło sztuki jako o dzieło sztuki i prawia zawsze o kwestye moralne.“ Zatrzymał on się nad jednym z utworów Maupassanta, zawierającym 23 uwagi. Nie było śród nich ani jednej, którąby dotyczyła artystycznej wartości utworu. Natomiast 13 poświęcono kwestyi, azali godzi się taką rzecz tłomaczyć, trzymać w wypożyczalni lub czytać, siedem — rodowodowi typów i o ile z powieści można wnioskować — życiu. Szczegóły bezwarunkowo ciekawe! Zdaje mi się, żem odnalazł drogę do tajemnic zbiorowego Sfinksa. Co mówią te uwagi na marginesach — sprobuję scharakteryzować w sposób nieco pośredni. Przypuśćmy, że nastały czasy krytyki gastronomicznej. Czy gawiedź zdrowych żołądków lubowałaby się w sprawozdaniach, złożonych z długich i rozwodnionych „ach“ zachwytu i „brr!“ wstrętu z powodu smaku tej lub innej potrawy? Każdy przedstawiciel czytającej gromady odpowiedziałby krytykom nader mądrze, że jego podniebienie odczuje dobroć jakiegoś przysmaku, a powinnością recenzentów jest jedynie podawanie recept. Zdaje się, że podobnej rady udziela ów stugłowy czytający smok na marginesach książek. Każdy z jego członków ma jakieś wyrobione, chociaż nieświadome poczucie piękna, nawskroś indywidualne, a zatem wszelka krytyka, wołająca „ach“ lub „brr“ — jest dla niego czczą gadaniną. Natomiast inna rzecz interesuje czytelników — stosunek człowieka do człowieka. Życie w obecnej chwili tak szybko płynie, tyle wywołuje nowych stosunków, takie mnóstwo nieznanych czynów, że ten i ów łaknie jakiegoś probierza dla oryentowania się. Czemu pewne postacie nie zjawiły się w życiu? Czy należy ten lub ów czyn uważać za dodatni? O ile powieść jest podobizną życia? Takie pytania, jeżeli wolno sądzić z wycieczki do marginesów książek, zajmują czytającą publiczność. Krytyk naturalnie nie potrzebuje stawać się jakimś moralizatorem purytańskiego znaku, ale gdyby posiadał żyłkę publicystyczną, bynajmniej nie zaszkodziłoby to jego działalności i strawniejszem zrobiłoby estetyczne zachwyty, estetyczne parskania oraz estetyczne rżenie. *W.*

Koncert historyczny.

Zbity, na wolnym ogniu prażony tłum półtoratysięczny zebrał się zeszłej środy w salach Redutowych, aby po pierwsze — wypróbować stopień odporności płuc swoich na brak powietrza, a powtóre — przekonać się, jak ludzie śpiewali i grali przed wiekami.

Płuca wytrzymały, tłum bowiem wytrwał do końca, a nawet miał siłę zmuszenia do nadprogramowych naddatków p. Hochedlinger, przedstawicielkę muzyki nowożytnej, chopinowskiej, w której repertuarze notabene Chopin najsłabiej wychodzi. Głosy śpiewaków również zwyciężyły: upał nie zdławił ich i nie rozstroił, jak struny skrzypiec i basetli, pod smyczkami członków orkiestry amatorskiej.

Czy muzyka starożytna zdołała rozbudzić choćby w jednej setnej cząstce upodobania, równające się sile i energii płuc słuchaczów? Trudno wiedzieć. Tu i owdzie odzywały się głosy przeciw chórom kościelnym na estradzie. Młodziutka wykonawczyni Bacha i Händla, p. Landowska, uczenica Michałowskiego, obdarzona w całej pełni tem, co nazywamy „nerwem muzycznym,“ nie zdobyłaby prawdopodobnie tak sutych i licznych oklasków po wykonaniu utworów, przy których większość ziewała, gdyby po sali nie przebiegł szmer o nadzwyczajnym jej talencie nietylko reprodukcyjnym, lecz i kompozytorskim. Przeszła szczęśliwie świeża, oryginalna, na dwa flety, arfę, głos męzki i chór unissono ułożona melodya grecka, wabiąc ucho odrębnością swoją; znalazły uznanie piosenki trubadurów, stylowo odśpiewane przez p. Jerzynę; natomiast perła muzyki kościelnej, wspaniałe Miserere Allegriego, minęło prawie bez wrażenia. Prawda, że wykonaniu go niezupełnie odpowiadały siły i środki Tow. muzycznego. Chóry jego, zwłaszcza kobiece, zrobiły wielki postęp ostatnimi czasy, odśpiewanie jednak bez zarzutu takich utworów, jak Miserere, wymaga pracy i wprawy miesięcy całych, a nadewszystko obsadzenia wybitnemi siłami artystycznemi kwartetu solowego, stanowiącego jakoby echo chórów.

Że większość publiczności warszawskiej zdołała zająć muzyka starożytna, okazał drugi z kolei koncert historyczny z odtworzonym na wzór pierwszego programem, a zapełniony również dosyć licznie.

Można odczuwać niektóre braki i usterki wykonania, należy jednak wyrazić prawdziwą wdzięczność kierownikom Towarzystwa za zapoznanie publiczności z nowym dla niej działem utworów muzycznych. *Selika.*

„Merkury.“

Z 2,071 członków tego stowarzyszenia przybyło na zebranie półroczne, po raz pierwszy zwołane, 18-tu i wedle ustawy rozeszło się bez skutku do domów; na drugi termin (4 b. m.) przyszło trzydziestu paru. Jedno z dwojga; albo uczestnicy wcale się nie chcą dowiedzieć o stanie gospodarki swojej instytucyi, albo są niezmiernie cierpliwi na jej niedomagania; a są one znaczne, skoro na ostatniem zgromadzeniu dały się słyszeć dość energiczne głosy, wytykające zasadnicze braki przedsiębiorstwa. — Czy nie można wprowadzić sprzedaży towarów nieco taniej — pytają interesowani — chociażby po cenach takich, jakie są praktykowane w sklepach nieopartych na organizacyi spółkowej? Stowarzyszeni, którzy kupują lichy towar w swoich sklepach, udali się do hurtownego ich dostawcy, p. Łapińskiego i tam znaleźli produkt lepszy za tę samą cenę. — Dla czego pan dajesz naszej spółce marny gatunek? — Bo widzicie panowie, ja muszę waszej spółce rabat ustępować, więc mi się nie opłaci dawać lepszych gatunków za nizkie ceny — odpowiada bardzo szczerze p. Łapiński. — Płacę za węgiel dobry w zwykłych składach po 90 kop., u Merkurego marny gatunek po 95. Niech mi szanowny zarząd wyjaśni to zjawisko; — naciera drugi z obecnych. — Mamy umowę na takich warunkach — odpowiada zarząd — że nasz dostawca może nam dawać węgiel według cen, istniejących w trzech pierwszorzędnych składach. Umowa śliczna, szkoda tylko, że spisana na skórze stowarzyszonych. — Dajecie nam mąkę stęchłą, zepsutą — woła inny pokrzywdzony; nie kupuję więc wcale od was, chociaż jestem uczestnikiem. Jeżeli chcę kupić funt masła, proponujecie mi ćwierć, aby dla innych wystarczyło. Dajecie rabatu 2½%, wówczas gdy sklep zwykły, jeżeli się w nim stale kupuje, da nawet 5% ustępstwa. Jaja sery, śledzie, ryby itd. kupujemy na targach miejskich o wiele taniej niż w sklepach naszych. Takie ciężkie zarzuty słyszeliśmy na niedzielnem zebraniu, a wyjaśnienia i usprawiedliwienia zarządu są raczej samooskarżeniem: Produktów nabiałowych nie mogą dawać w ilości żądanej, bo zależą od swych dostawców wiejskich. A jednakże inne sklepy dają zawsze i, co więcej, w końcu stycznia mleko podrożało u Merkurego, gdy tym czasem gdzieindziej przez całą jesień i zimę tańsze było. Zapewne to także skutek kaprysu czy niesprawności dostawców? Szkoda, że zarząd nie wpadł na taką prostą myśl: rozszerzyć źródła dla posiłkowania się dobrym towarem. Jeżeli stowarzyszenie sprowadza wagonami kawę z Londynu, jeżeli zawiązało stosunki z producentami wiejskimi w guberniach litewskich, skąd ma wędliny, sery, masło solone; dla czego nie może zjednać większej liczby wytwórców bliższych, którzy dostarczaliby stale i w odpowiedniej ilości świeże masło i mleko? Takie są zasadnicze wady w instytucyi przedsiębiorczej, istniejącej już prawie 25 lat, a więc, zdawałoby się, bardzo doświadczonej; opartej na akcyach, a więc silnej materyalnie i rozporządzającej dość znacznym funduszem i powagą, dającemi możność nabywania towaru dobrego z pierwszej ręki i — sprzedawania go o wiele taniej niż sprzedają sklepy, sprowadzone przez handlarzy pojedynczych. I dziwić się wobec takich przykładów, że rządzimy się „chłopskim rozumem“ i nie wierzymy w żadne teorye ekonomiczne, nawet przez praktykę gdzieindziej dowiedzione. *P.*

W DALI.

Radom. Mieszkańcy Głowaczewa za pośrednictwem *Gazety radomskiej* uskarżają się na brak pomocy lekarskiej w promieniu kilku mil. Zaniedbana jest pod tym względem 1/3 powiatu, mianowicie gminy: Maryampol, Brzoza, Bobrowniki, Świerża, Grabów, Trzebień, Rozniszew, w których skład wchodzą trzy osady: Głowaczew, Magnuszew i Ryczywół, tudzież 15 dworów, ogółem ludności około 30,000. „Jedni na łasce felczerów, drudzy na łasce owczarzy i znachorów, których w naszej okolicy nie brakuje.“ Najbliżsi lekarze mieszkają w Radomiu o 30 wiorst, w Białobrzegach o 28 i w Kozienicach o 18 wiorst. Jest jeszcze Warka (20 wiorst), lecz za Pilicą, na której nie ma mostu. „Z dwóch przyczyn nie mamy lekarza — skarżą się pokrzywdzeni. Pierwsza, że nie ma kto zająć się, abyśmy dali 200 rs. rocznej składki na mieszkanie lekarzowi, druga, że młodzi panowie lekarze niechętnie zamieszkują w małych osadach. Ten, któryby umiał obchodzić się z ludem, miałby byt zapewniony. Jeżeli chłop niechętnie radzi się u lekarzy, nie można go o to winić. Trudno wymagać, aby odrazu tracił zaufanie do znachorów, na którego wyrabianie składały się wieki. Wiadomo, że gdzie lekarz zamieszkuje oddawna, tam lud chętnie leczy się u niego i znachorzy nie mają racyi bytu.“

Łódź. Dzięki temu, iż Towarzystwo pracowników handlowych zdobyło się na wygodny lokal z dwiema obszernemi salami, weszły w życie ćwiczenia gimnastyczne, nadto członkowie mają sposobność łatwiejszej styczności towarzyskiej. Jednym z dodatnich objawów działań zarządu były zabiegi około ubezpieczenia stowarzyszonych na wypadek śmierci lub dożywocie. W sprawie pomocy lekarskiej dla członków i ich rodzin opracowano i zatwierdzono szczegółowy regulamin. Obecnie Towarzystwo liczy 818 członków, w tem 596 rzeczywistych i 222 protektorów. Ogółem o 138 jest więcej, niż w roku poprzedzającym. Pożyczek zwrotnych udzielono w ciągu roku na sumę 6,179 rs., zapomóg rs. 316. Fundusz kasy wdów i sierot wynosi 3,826 rs. 26 kop. Kapitał zakładowy wynosi 11,186 rs. 38 k; biblioteka liczy 1,533 tomy dzieł i czasopism w różnych językach. Czytało je zaledwie 320 członków. Wydział rekomendacyi pracy w ciągu roku ubiegłego przyjął 116 deklaracyj (ze 154 złożonych), z tej liczby umieścił na posadach 42 kandydatów.

Kielce. Źródła wody mineralnej i zakład kąpielowy w Busku z nadejściem sezonu przechodzi pod zarząd skarbowy. Zwierzchni nadzór obejmie inż. Choroszewski, naczelnik zakładów górniczych w królestwie Polskiem. Na pierwsze potrzeby i ulepszenia wyznaczono ze skarbu 10,000 rs. — Na mocy rozporządzenia władzy, żydów, t. zw. komorników, wyrugowano z osad włościańskich. Znaleźli oni atoli przytułek u właścicieli ziemskich w niektórych miejscowościach gubernii kieleckiej, a jak zapewnia korespondent z pod Stopnicy, jeden z ziemian oddał w dzierżawę żydowi majątek, złożony z kilku folwarków, nowy zaś gospodarz osadził tam swych współwyznawców.

Żytomierz. W pobliżu Radziwiłłowa, w dobrach hr. Sołłohuba (pow. krzemieniecki), powstało niedawno wielkie przedsiębiorstwo dla wysyłania produktów zwierzęcych za granicę — głównie mięsa solonego do Anglii, Austryi i Francyi. Firmy angielskie w Glasgowie zawarły już umowę o dostawę wieprzowiny solonej do Hamburga po 32—40 szylingów za centnar. Wogóle handel mięsny w ostatnich czasach znacznie się ożywił. Mnóstwo wołowiny z gub. wołyńskiej idzie na wielkie rynki do Cesarstwa i Królestwa. — W Żytomierzu firma techniczna warszawska „Kuksz i Liedtke“ opracowała projekt budowy wodociągów kosztem 205,881 rs. Wody dostarczy rzeka miejscowa, Teterów. Filtry żwirowe i woda ciśnień powstaną na placu Teatralnym. — Otwarto dom pracy pod opieką Towarzystwa dobroczynności, założonego w r. 1875. — Z powodu wielkiego popytu na nasiona buraczane w kraju południowo-zachodnim, ceny ich poszły znacznie w górę. Hodowcy wyprzedali wszystkie zapasy tudzież poczynili z odbiorcami umowy na dostawę w ciągu kilku lat następnych. — W Niechworonczy (pow. żytomierski) za staraniem włościan powstał bank wiejski dla zabezpieczenia ludu od lichwy.

Mińsk. Najruchliwszy z korespondentów, p. Aleksander Jelski, uskarża się na upadek przemysłu drobnego w niektórych miejscowościach gubernii. Rzemieślnicy przerzedzili się niezmiernie; gdzie niegdzie tylko na wsi spotkać można dobrego rymarza, mularza, stolarza, kołodzieja, powroźnika; od biedy znaleźć można zdunów i stolarzy, przeważnie żydów. Lud zaniechał kształcenia się w rzemiosłach i ogrodnictwie. — Doroczny bal w Mińsku na rzecz niezamożnych studentów uniwersytetu, pochodzących z tego miasta, przyniósł czystego dochodu 1,500 rs.

Moskwa. W styczniu 1895 r. upływa kontrakt oświetlenia miasta gazem, zawarty 1865 r. pomiędzy dumą a pp. Bouquier'em i Goldschmidtem, którzy potem monopol swój przekazali towarzystwu angielskiemu, a ono — francuskiemu. Obecnie służy miastu prawo wykupu fabryki gazowej, albo przedłużenia umowy, wreszcie — zupełnego zerwania umowy z uprzedzeniem na rok przedtem. Zarząd miasta skutkiem braku funduszów, postanowił przedłużyć kontrakt na lat 10, z warunkiem, aby po tym terminie fabryka z całym swoim arsenałem wszelkich środków, przeszła na własność miasta.

Tomsk. Dnia 29 grudnia r. z. komisya egzaminacyjna w uniwersytecie miejscowym zamknęła czynności i nadała stopień lekarzy 30 słuchaczom, z tej liczby 10-ciu zatrzymała w uniwersytecie, jako ordynatorów lub laborantów. Uniwersytet powyższy posiada dotąd tylko jeden wydział medyczny. Za otwarciem innych fakultetów przemawia prasa ruska; między innemi piszą *St. Pet. Wied.*: „Obecnie, gdy droga syberyjska zaledwie się buduje, trzeba wydawać setki tysięcy rubli na zbadanie miejscowych bogactw naturalnych, mniej lub więcej potrzebnych do budowy kolei (drzewo, ruda żelazna i inne, węgiel kamienny itd.), łatwo też sobie wyobrazić, jak dalece droga żelazna, przebiegająca wzdłuż całą Syberyę, zwiększy popyt na inteligencyę miejscową. Zaspokojenie tego popytu zaofiarowaniem inteligencyi z Rosyi europejskiej osiągnąć się chyba nie da, a jeśli Syberyi sądzono wogóle wkroczyć na drogę kultury i produkcyi prawidłowej, może to oczywiście nastąpić nietylko pod wpływem drogi żelaznej, lecz i w większym daleko stopniu przez wpływ uniwersytetu, uposażonego we wszystkie wydziały nauk.“

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ostatecznie postanowiono nie dawać dalszych terminów do nauczenia się języków ruskiego i polskiego tym majstrom cudzoziemcom w okręgu fabrycznym piotrkowskim, którzy obecnie nie złożą egzaminów z rezultatem zadawalającym. Będą oni musieli opuścić zajmowane stanowiska i wyjechać za granicę.

— *Rusk. wied.* zapewniają, że termin sprzedaży dóbr księżny Hohenlohe postanowiono przedłużyć do 20 kwietnia r. 1897.

— Redaktorowie i współpracownicy pism krakowskich postanowili przyłączyć się do lwowskiego Towarzystwa wzajemnej pomocy publicystów. Zadaniem jego jest niesienie członkom pomocy materyalnej w razie choroby, zniedołężnienia lub wieku podeszłego. Dotychczas zebrany fundusz wynosi 3000 złr., liczba uczestników przeszło 60, składka miesięczna 12 złr. (*Kuryer warsz.*).

Szkoły. Pierwotnie etat szkoły niedzielno-handlowej w Warszawie (r. 1854) był obliczony na 765 rs. rocznie. Od tego czasu zakład znacznie rozszerzono przez utworzenie oddziałów równoległych i kursów wieczornych, więc i suma powyższa okazała się niedostateczna. Podniesiono więc ją do 8000, które pokrywane są z funduszów kupiectwa. Obecnie z powodu wyczerpania zasobów, urząd starszych zgromadzenia kupców występuje do członków zgromadzenia i innych instytucyi finansowych o dostarczenie środków na utrzymanie szkoły, drogą dobrowolnych ofiar.

— Wydano pozwolenie na nowe szkoły w Warszawie: pp. Oranowskiemu (3-klasowa męzka), Tolwińskiemu (3-kl. progimnazyum żeńskie z oddziałem przygotowawczym i pensyonatem) i p. Dymeckiej (1-kl. szkoła żeńska początkowa na przedm. Brudno).

— Ministeryum oświaty zwróciło się do ministeryum komunikacyi o bilety ulgowe do rozporządzenia kuratorów na przejazd kolejami i parostatkami dla niezamożnych nauczycieli, którzy podczas wakacyi odbywają wycieczki w celach naukowych. Ulgi takie istnieją w całej Europie zachodniej.

— Przy tutejszym okręgu pocztowo-telegraficznym postanowiono otworzyć kursy języków obcych dla urzędników i osób nowowstępujących do służby. Wykłady będą prowadzić nauczyciele gimnazyów warszawskich.

Zdrowie publiczne. *Praw. Wiest.* donosi, iż prócz gub. kowieńskiej, płockiej, wołyńskiej i czernihowskiej, we wszystkich innych epidemia cholery wygasła.

— W Rio de Janeiro szerzy się silna śmiertelność z powodu żółtej febry.

Wystawy i zjazdy. Ubiegłej niedzieli otwarto wystawę nasion w Warszawie.

— Zapowiedziana na rok przyszły w Kijowie wystawa rolnicza trwać będzie od 13 lipca do 13 października.

— Pomiędzy 30 kwietnia a 24 maja r. b. odbędzie się międzynarodowa wystawa wynalazków w Wenecyi.

— W Brukselli 23 lutego zamknięto wystawę koronek.

— Na sierpień zapowiedziano w Jurjewie wystawę przemysłowo - rolniczą z oddziałami rybołówstwa, pszczelarstwa i hodowli ptactwa domowego.

— Dn. 14 b. m. odbędzie się w Petersburgu zjazd młynarzy.

— Zjazd petersburski w sprawie komunikacyi wodnych postanowił ułatwić żeglugę na rzekach: Dońcu, Wiatce i Wietłudze.

— Jednocześnie z wystawą w Antwerpii, odbędzie się w Brukselli kongres międzynarodowy chemików. Pragnący przyjąć udział, mogą się zwracać do sekretarza kongresu: F. Sachs (*Bruxelles, rue d'Allemagne 68*).

Sprawy kolejowe. Na niektórych kolejach wprowadzono nowy aparat kontrolujący, automatycznie oznaczający szybkość biegu pociągów.

— W letnim rozkładzie jazdy na kol. Warszawsko-Petersburskiej postanowiono szybkość jazdy pociągów kuryerskich doprowadzić do 75 wiorst na godzinę.

Telefony. W m. Filipowie i Wiżajnach gub. suwalskiej otwarto oddziały telefonowe z przyjmowaniem telegramów, dostarczanych przez telefony do najbliższych telegrafów dla dalszego przesyłania.

Zmarli. Józef Łepkowski, profesor, archeolog w Krakowie. Ważniejsze dzieła jego: „Kalwarya zebrzydowska i jej okolice,“ Opisy Gniezna i Trzemeszna, Sprawozdania i studya o zabytkach; „Broń sieczna, uważana archeologicznie“; „O modlitewniku, znajdującym się w Bibliotece uniwersyteckiej w Monachium“; „O poszanowaniu zabytków“; „Ułamki z podróży archeologicznej“; „Przegląd legend, nabożeństw itd.“; „Sztuka, zarys jej dziejów.“ Nadto, pisał także w innych przedmiotach („Geografia Galicyi“). Katedra archeologii była stworzona umyślnie dla niego.

— Bogumił Hoff w Warszawie; literat, pracownik w zakresie etnografii krajowej. Najważniejsza jego praca: „Wisła i wiślanie.“ Pisywał do *Wisły* i *Wędrowca*.

— Helena Dąbrowska w Warszawie; skrzypaczka, uczenica Barcewicza.

— Antoni Ryszard, w Krakowie; jeden z najlepszych znawców numizmatyki polskiej.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu L. W. w Odesie. Nadesłany drobiazg jest zbyt małym, ażebyśmy na nim jakiś sąd o talencie autorki oprzeć mogli. Radzibyśmy poznać inne jej prace, ale zastrzegamy, że *Prawda* przedruków nie pomieszcza.

Panu G. A. F. w Roub. Nie mamy miejsca na sprawozdania z książek dawnych. Przy tem artykuł pański ma duże braki w formie.

Vig. Utwór słaby, przekład — również.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Ценсурою, Варшава 25 Февраля 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.